Cena mk. 1.25

SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok I. *Warszawa, dn. 25 lipca 1919 r.* Nr. 25.

TREŚĆ NUMERU:

Przez nas, czy też bez nas i wbrew nam?

> Trzeba powiększać rzeczy,
> żeby je widziano.
> Norwid.

„Kiedyś, gdy zemsty lwie przehuczą ryki"... marzył o chwilach dzisiejszych Mickiewicz, a Słowacki mu wtórzył:

„...Czas ci wstawać z grobu, promieniem serca świecąca!..."

Słowa te naszych poetów, w odniesieniu do tej rzeczywistości, którą obecnie przeżywamy, dziwne się nam wydają. Chociaż wiemy dobrze, że *każde* spodziewanie jest od spełnienia doskonalsze, jednak czyż te dwa światy muszą być zawsze aż tak od siebie odległe, jak są w naszym wypadku? Czyż wzniosłe tęsknoty i wielkie dążenia w samej swej rdzeni toczone są przez grzyb nierzeczywistości, który je zjada i unicestwia bez śladu?

Nie wiem. Trudno się jednak oprzeć nam, którzyśmy się winni uważać za najszczęśliwsze pokolenie w Polsce, smutnemu wrażeniu, że obok rzeczy, które się dzieją tak, jak się dziać muszą, są też inne, które się tak tworzą, jak się tworzyć nie powinny.

Nie dziw więc, że słyszeć się dają skargi, że „budujemy Polskę na bagnie", że coś najważniejszego przechodzi koło nas, nie wciągając nas w swą orbitę... A jednak!... Krok za krokiem, piędź po piędzi, dzień za dniem—a coraz szersze się światy nam otwierają, coraz bogatszą nasza rzeczywistość, coraz więcej pragnień naszych się spełnia, coraz żywiej i pewniej krew nam krąży w żyłach.

Kto to sprawia? Czy nasza w tem zasługa? I tak i nie. Zaiste, dużo się kryje bohaterstwa i ogrom zasługi w wysiłkach bezimiennej często rzeszy pracowników cichych, od żołnierza zwykłego począwszy a skończywszy na wybitnym mężu stanu, jednak obok tego tyle widzimy złej woli, chciwości, głupoty i niedołęstwa, niedołęstwa — wszędzie, że oku, badawczo się przypatrującemu współczesnej budowie Polski, wydaje, że te sprzeczne sobie wysiłki wzajemnie się znoszą i że na ich miejsce winno pozostać jedno wielkie *nic*.

I wbrew chęci powstaje myśl, że się Polska odradza przez czynną wolę obcych poza nią potęg, że tak sobie życzy zwycięska koalicja, że to jej z tych czy innych względów dogadza. Jak dziecko zda się jesteśmy, które możny kaprys posadził na trawie; ale kaprys się skończy—i powróci smutna rzeczywistość.

Ale nie! Obok czynników zewnętrznych, nam sprzyjających, są inne, nie mniej potężne, które całą swą olbrzymią energję wkładają w to, by nie całkiem opadły z nas więzy niewoli, by Polska była jaknajsłabsza, jaknajniedołężniejsza i jaknajniższa w oczach cudzych i własnych!

Więc nie moce zewnętrzne Polskę nam dziś tworzą, podobnie jak nie nasze ręce lepią nam Jej kształt umiłowany.

Gdzież więc sprężyna istotna dziejów naszych dzisiejszych? Gdzież czyniciele Polski prawdziwi?

Na to odpowiedź może być jedna tylko: za grobem! Polska dzisiejsza żyje i rozwija się przedewszystkiem zasługami, wysiłkiem i ofiarą tych, co pomarli, co w bojach krwawych r. 63-go, pod szubienicą i na wygnaniu swem tchnieniem ostatniem nadali Polsce rozpęd, który ją dotąd prowadzi, którzy w ciemnych nocach rozpaczy widzieli Polskę taką jasną i promienną, że „w strzępach płaszczów żołnierskich dotąd ma pióra... Aniołów". Oni, ci z za grobu dotychczas zwyciężają na polach bitw, w sumieniach ludów, a nawet w gabinetach dyplomacji.

To, co się nazywa Nemezydą dziejową, ma podwójną twarz: groźną i mściwą dla krzywdzicieli, radosną i jasną dla pokrzywdzonych. Czyż to wina dzisiejszych jeno Prusaków czy Moskali, że

> „co spadło na nas deszczem
> spada na nich morzem"?

Czyliż tak trudno w huraganie siarki i ołowiu, który spadł na uchodzących z Poznańskiego Krzyżaków, odnaleźć każdą kroplę łez bezsilnych, wylanych przez nasze dzieci i nie dzieci? W każdym ciosie, który gniótł karki pruskie i do ziemi chylił, czyż nie czuć było pięści Bartków—zwycięzców, tak sromotnie niegdyś wyzyskiwanych i upokorzonych? A w tym wichrze polskim, który wieje na wschód i wymiata precz z ziemi naszej śmiecie moskiewskie, czyż nie słyszymy zawodzeń tej wichury, która się zerwała, gdy ciało Traugutа zawisło na szubienicy? A w tym stryczku, który pochwycił w swe skręty potworne miedzianą szyję Wieszatiela w Wilnie w sierpniu r. 1915,—czyż nie znalazły się włókna wszystkich onych powrozów, które ongi ściskały szyje dostojne Sierakowskich, Zdanowiczów, Kalinowskich i innych?

Tak, straszną jest Nemezis dziejowa i biada temu, kto jej lico rozsierdzone na siebie oglądał!

A my? My nie powiemy, jak ongi mawiali poganie, że słodką jest zemsta, ale wiednie czy bezwiednie zbieramy owoce ofiar ojców naszych, wchodzimy w dziedzictwo dokonanego przez nich czynu.

A nas, ludzi dzisiejszego pokolenia, jakże nieskończenie mała w tem wszystkiem, co się dzieje, zasługa!

Jedną ze swych najpiękniejszych nowel, p. t. „Stygmat" poświęca Norwid zagadnieniu wpływu umarłych na losy żywych. Tezę swoją unaocznia on naogół nawet realistycznie, w końcu zaś reasumuje ją w słowach:

„I ludy i pokolenia i nawet osobistości pojedyńcze, podobno, że arcymało, *jako oni i one same*, weszli dotąd w dramat życia i w historję! Wielkie to jest jeszcze pytanie, kto na samych nawet polach boju potyka się?"

Słowa te Norwida my dziś rozumiemy lepiej może, niż kiedykolwiek. Dzisiejsze pokolenie czuje, że jest niejako popychane przez jakoweś ręce niewidzialne, czyniące za nas Polskę jutrzejszą.

Jakiż z tego jednak wniosek? Czyż tak zawsze bywa? Czyż nie jesteśmy wręcz skazani zasadniczo na tę bierność przymusową, my ludzie—jako ludzie? Czyż się nie dzieje tak przypadkiem, że wysiłki każdego pokolenia dopiero za grobem plon swój wydają? Snadź tak bywa zawsze, a nasze pokolenie niczem się od innych pokoleń nie różni!

Sądzę, że nie! Nie zawsze bywa tak jak jest u nas, dziś w Polsce. Nie każda rzeczywistość drwi z ludzi współczesnych i ich jałowych, nieskoordynowanych odruchowych czynów. Bywa, że i współczesne wysiłki wyraźnie i stanowczo ważą na szali losów narodu, acz u nas dziś tak rozpaczliwie inaczej się dzieje.

Czemuż wytłumaczyć, że u nas Polska się buduje prawie, prawie niezależnie od nas, chodzących dziś po Polsce manekinów?

Źródło naszej słabości tkwi niewątpliwie w tem, żeśmy zerwali z naszą przeszłością, odwróciliśmy się nieufnie od tego, co było najżywotniejszego w tej przeszłości i co—pomimo wszystko—dziejom naszym pęd nadaje nawet wbrew nam.

Każdy naród ma swój *ton* swoisty, jak już o tem ktoś pisał na łamach „Sprawy". Charakter narodowy musi znaleźć sobie odpowiedni wyraz, a skoro się ten raz odnajdzie, naród winien mu być wierny. Oderwać się od przeszłości, zerwać z nią niepodobna. „Kto się od sumienia historji oderwał, dziczeje na wyspie oddalonej" powiada Norwid. Dziejom naszym, temu, co w nich było wielkiego, świętego i prawdziwego, winniśmy być wierni. Kult dla przeszłości, nie przybierając bynajmniej cech spotwornienia, jak to było u Pola, Chodźki czy Rzewuskiego, powinien być u nas wciąż żywy i aktualny. Tymczasem my pozostajemy wciąż pod zaklęciem historycznej szkoły Krakowskiej. „Poczekaj! Ostrożnie! Nie zapalaj się!" („Prelekcje" Mickiewicza)—oto słowa, które są niemem hasłem ludzi dziś w Polsce kierujących.

Mesjanizm nasz w swym głównym zrębie, pomiędzy r. 1830—1850, jest właściwie jedną wielką walką pomiędzy ślepym, zrywającym wszelkie pęta, zapałem, a twórczym wysiłkiem mądrej, spokojnej i silnej ręki rozumu. Polem tej walki są wielkie duchy wielkich w Polsce naówczas ludzi, od Mickiewicza począwszy, a skończywszy na Norwidzie. Istota tej walki najlepiej bodaj jest oddana w tych słowach Słowackiego:

„Tylko pohamowana w nas siła jest siłą".

Przeanalizujmy te słowa. Znaczą one: że musi być w nas *siła*, lecz dopiero wtedy ona jest siłą prawdziwą, gdy się umie nią kierować, gdy się ją trzyma w karbach.

Jakże opacznie wytłumaczyliśmy sobie to hasło! Jednośmy tylko zeń właściwie słowo zapamiętali: to—hamować!

Takeśmy gruntownie ostrzegali sami siebie przed zapałem, egzaltacją, entuzjazmem, tak gwałtownie krzyczeliśmy o trzeźwość, że dziś wreszcie trzeźwi jesteśmy, och jak trzeźwi!

Dziwna jest ta nasza polska trzeźwość. Nie jest to twórcza, spokojna, męska trzeźwość ludzi dojrzałych, świadomych mechaniki dziejowej i praw, rządzących duchem ludzkim. Nasza trzeźwość—to trzeźwość młodzieńców, która, skoro raz powstanie, dochodzi wręcz do sceptycyzmu i śmieszności.

O trzeźwości naszej dzisiejszej z genjalną wprost intuicją mówi w jednym ze swych drobnych wierszy Słowacki:

„Wielcyśmy byli—i śmieszniśmy byli! Bośmy się duchem Bożym tak popili, że nam pogórza, ojczyste grobowce przy dźwiękach fletni skakały jak owce, a górom onym, skaczącym na głowie, stały olbrzymy, miecza Aniołowie! Ustały dla nas bić godzin zegary; duch nie miał czasu, a czas nie miał miary; szedł błyskawicą do wieczności progu duch, a stał wieczność, kiedy stanął w Bogu! Zaprawdę powiem, bracia moi mili, żeśmy się duchem przeświętym popili!

Dzisiaj—jesteśmy z ducha wytrzeźwieni, bracia rozumni, czciciele pieczeni; w głowach się nie ćmi jak dawniej słonecznie; fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie; czas nasz zgodzony z ziemi zegarami; stoim i śpimy—a świat śpi pod nami!"

Pod jednym tylko względem omylił się Słowacki: zegar nasz niestety, się *późni* w stosunku do innych zegarów ziemi!

Och, ta nasza trzeźwość! Obrzydliwa polska trzeźwość! Trzeźwość ludzi małych, którzy się wstydzą wzniosłości, patosu, którzy go obniżają, którzy go nie stawiają u *szczytu* hierarchji duchowej, lecz gdzieś umieszczają w szarym kąciku, jako coś, czego się wstydzić należy.

Mickiewicz w r. 1819, sto lat temu, w pamiętnem przemówieniu do Czeczota, tak mówi o tej trzeźwości ludzi małych:

„Odkryj się przed kim z wielką myślą, z wielkim zamiarem, cobyś w nim miał uczucie wyższe obudzić, obudzisz uśmiech obojętności. Te podłe istoty tak dobrze czują swoją wartość, iż między wielką rzeczą, a między sobą śmieszny upatrują kontrast".

O, ta nasza polska trzeźwość! Tak, niewątpliwie trzeba umieć być trzeźwym, bardzo często: gdy się na rynku kupuje ziemniaki, wtedy jużciż trzeba być trzeźwym, lecz bywają chwile w życiu, kiedy trzeźwość zwyczajnych ludzi staje się małodusznością i bezdusznością!

Zdziechowski opowiada gdzieś o Włodzimierzu Sołowjowie, że gdy ten był dzieckiem miewał cudowne wizje, widzenia niebieskie, z których gdy się zwierzał przed boną Niemką, ta drwiła z niego: „Włodziu, Włodziu jakiś ty głupi!". My, jak ten Włodzio, wstydzimy się naszej guwernantki Europy i pierworodztwo nasze—pod pewnemi względami—sprzedajemy za miskę soczewicy. Aż żal patrzeć na owe setki i tysiące z pośród nas, często najlepszych, którzy cały ogromny

wysiłek przedsiębiorą, by wyniszczyć w sobie to, co za swą słabość mają: uczucie, gdy tymczasem małżeństwo jego z rozumem uważaćby właśnie winni za cel najwyższy.

Czyż tak naprawdę trzeźwość opanowała nas całkowicie? Czyż nam zupełnie brak dziś patosu, zapału, ognia natchnienia w źrenicach?

O, nie! Widzimy wszak i dziś wielkie czyny i wielkie gesta, „oczy groźne i ręce czynne i uwiązany cel do wież wierzchołka", wielki rozmach i słowo gorące, grzmiący i donośny głos i moc przekonywającą, energję i wytrwanie, rozpęd i patos, wielki szlachetny, wzniosły patos! — lecz gdzież dostrzegamy te przejawy ducha? Na kresach, we Lwowie, w Cieszynie, w niektórych odezwach i wystąpieniach niemal bezimiennych (znakomity list otwarty do Anglików i Amerykanów Komitetu Obrony Narodowej), wreszcie u szarej napozór rzeszy żołnierzy naszych, przelewającej swą drogą krew u rubieży Rzeczypospolitej.

Lecz to jest fatalnością polską na dziś, że te objawy ducha, które są najwyższe, najdostojniejsze nie są przez nas na tej wyżynie umieszczone, że państwowość polska nie umiała się dotąd zdobyć na głębokie akcenta, któreby zwróciły na nią oczy całego świata, że nie umiemy się otrząsnąć z suggestji dnia powszedniego, że nie umiemy wyłonić z siebie *stylu* własnego, oryginalnego, który jedynie daje rękojmię wiecznotrwałości naszych dzisiejszych poczynań!

Och, jakże trzeźwi jesteśmy! Jakże się wstydzimy tego, że niegdyś byliśmy Farysami! Jakże się w istocie wstydzimy—tak, nie oszukujmy samych siebie!—tych co na naszej ziemi żyli ongiś: Kościuszków, Ks. Józefów, Mickiewiczów, Słowackich! Udajemy cześć dla nich, gdy w istocie śmieszni się nam oni wydają, ot i wszystko! Dlatego nie stać nas na jeden możliwy pomnik „Wieszcza Adama" i najlepszy jego pomnik tworzy Francuz, Bourdelle, a nasze polskie—pożal się Boże! Skądżeby nas było bowiem stać na wydobycie z piersi naszej tego patosu, który był wręcz istotą samą Kościuszki czy Mickiewicza?

Najgłębsze i najistotniejsze źródło wszelkiego patosu i uczucia wzniosłości—religijność, zasypujemy piaskami użyteczności i utylitaryzmu. To jest wprost przerażające jak bezreligijną jest współczesna myśl polska, współczesne nasze życie i literatura! Pamiętam, gdym przed dziesięciu laty przeczytał pewne myśli współczesnego Polaka, wrażenie z tej książki sformułowałem w tych słowach: „Autor pisze tak, jak gdyby Chrystusa *jeszcze nie było*". A literatura? Uważmy sądy krytyki literackiej o takich typowo religijnych organizacjach, jakiemi są Kasprowicz lub Wyspiański. W sądach owych jest wszystko, tylko nie wyczucie tego, co jest samą rdzenią twórczości tych poetów; t. j. religijności. Religja — to tema przestarzałe!

A życie nasze? My, którzy powtarzać jeszcze lubimy konwencjonalne: „Polonia semper fidelis", zdaje się ani dostrzegamy, że się odbywa wielka tajna i jawna kampanja przeciwko dawnej naszej religijności wogóle, zaś przeciw katolicyzmowi w szczególności. Formy tej kampanji są wszechstronne, poczynając od naiwnego kwestjonowania *chrześcijańskich* podstaw naszej kultury (podstawy te mają być „aryjskie" wedle dowcipnego określenia pewnego nietzscheanisty!), aż do indyferentyzmu szerokich mas inteligentnych i pół-inteligentnych. Pod tym względem zachodzi jednak znamienna różnica pomiędzy zachodnią i wschodnią połacią Polski. O ile w Poznaniu czy Krakowie mężczyźni inteligentni, profesorowie Uniwersytetu i posłowie nawet, bywają bardzo często wierzącymi i praktykującymi katolikami, to w ziemiach, które należały do Rosji, jednostki takie należą do rzadkich wyjąt-

---

X. J. CAVALIER.

Wpływ Prus na masonerję polską.

Studjum oparte na źródłach masońskich.

(Dokończenie).

III.

Wojna francusko-pruska z r. 1806—1807, klęska Prus i powstanie Wielkiego Księstwa Warszawskiego znacznie osłabiły działalność masonerji pruskiej w Polsce.

Loża „Lichtarz złoty" walczyła przez pewien czas z trudnościami, ale w 1810 roku zawiadomiła lożę-matkę, iż zawiesza swe prace. Loża „Fryderyka Wilhelma pod kolumną" usiłowała przedłużyć swą egzystencję, przyjmując do swego grona wielu Polaków i przybierając zmienioną nazwę: „Samarytanina". Nie powiodły się jednak te wysiłki. Policja poczęła ją prześladować, zawiesiła więc również w 1810-ym roku swą działalność.

Loża „Świątynia prawdy" zmieniła nazwę na „Świątynia mądrości" i przetrwała znacznie dłużej. Nie była ona wyłącznie niemiecką. Większa część jej członków składała się z Polaków, którzy posługiwali się językiem polskim. Nawet korespondencja tej loży z główną Lożą krajową w Berlinie odbywała się również w języku polskim, lecz z dołączeniem tłumaczenia niemieckiego. Loża berlińska, zatwierdzając pomienioną lożę, postawiła za warunek, ażeby mistrz katedralny znał język niemiecki. Pierwszym mistrzem był prusak von Reich. Następnie jednak mają wszyscy nazwiska polskie.

Niektórzy historycy polscy podają, że dopiero oficerowie legjonów polskich, wstąpiwszy do lóż francuskich, przeszczepili masonerję do Polski—lecz jest to błąd widoczny. Jeszcze przed przybyciem tych oficerów, w Polsce istniała masonerja. Polacy, niezbyt liczni coprawda, należeli już do lóż niemieckich i, gdyby zabór pruski trwał dłużej, liczba ich niechybnie zwiększyłaby się. Ci polscy członkowie lóż niemieckich w Polsce mieli odegrać najważniejszą rolę w organizacji wolnomularstwa polskiego.

Członkowie „Świątyni mądrości" wkrótce odłączyli się od Loży macierzystej berlińskiej. „Nie można tego sądzić zbyt surowo — mówi doktór Friedrichs. Ostatnie wypadki oddały Polakom ojczyznę,—nie można robić im z tego zarzutu, że pragnęli stworzyć sobie warunki odpowiadające im więcej, tem mniej można ich obwiniać, że panowanie pruskie trwało krótko i nie miało czasu przekonać o korzyściach swego systemu".

A jednak wolnomularz berliński sądzi, że Polacy w tym wypadku nie okazali się sympatycznymi. Kilka lat przedtem, gdy prosili o przyjęcie do „Grosse Landes-Loge" w Berlinie, oświadczyli: „Zapewniamy Was

ków. W takiem Wilnie np. wręcz śmieszną rzeczą wydaje się dla przeciętnego adwokata lub lekarza, *by on* miał chodzić do kościoła. A to po co? Gdym zapytał w Mińsku pewnego inżeniera, gdzie tu jest kościół, on mi odpowiedział: „Proszę o to zapytać mojej kucharki". I tak myśli, na naszych kresach zwłaszcza, olbrzymia większość naszej inteligencji.

Cóż potem mamy się dziwić, że lud wymyka się nam z rąk, gdy sami świadomie coraz mniej z nim chcemy mieć wspólnego. Dopiero wtedy wszak mowa staje się zrozumiała, gdy jest ona wyrazem wspólnych pojęć i uczuć. Dziś mowa „umiejętnika" (jak mówi Norwid) niepojęta jest ludowi. Jakiejże tu zmiany czekamy? Może zresztą uda się nam sprowadzić i lud na jałowe piaski naszej umysłowości bezreligijnej. Czekajmyż—aż się sprawdzą słowa Klonowicza:

„Ślepi—wodzowie ślepych!—i wpadną pospołu
Mistrzowie i uczniowie do jednego dołu".

Drugiem źródłem patosu i entuzjazmu bywa sztuka, do której stosunek w Polsce pozostawia wiele do życzenia. U nas bo plenią się dwie skrajności. Jedni chcą, by sztuka była jakowąś mistrzynią życia zbiorowego i indywidualnego, inni zaś sądzą wręcz, że sztuka—to zabawka. Pierwszych jest już zresztą coraz mniej, od drugich zaś—kraj się cały roi.

Tymczasem jak mówi w „Prelekcjach" Mickiewicz, „za naszych czasów, kiedy wszystko, co jest z ducha, podległo ostatecznemu skażeniu, jedna sztuka zachowuje jeszcze coś duchowego. Ma ona swój urok, swą tajemniczość, których rozum nie zdołał wytłumaczyć. Dla niektórych ludzi sztuka jest jeszcze jedynym sposobem praktykowania religijności, jakiego trzymać się śmieją". Albowiem „Piękno na to jest, by zachwycało do pracy" (Norwid), i tę czcigodną rolę sztuki trzeba uznać i potwierdzić wyraźnie, bo wraz z poniewierką formy i treść życia zbiorowego szwanku wciąż doznaje.

Te dwa zasadnicze źródła wszelkiego entuzjazmu, patosu i zapału, wzniosłości i zachwytu—religijność i artyzm, sami wyniszczamy coraz bardziej gruntownie, cóż więc się potem dziwić, że nawet nasz osławiony patrjotyzm nie ma już w sobie dość silnych i wyraźnych akcentów, że są śród nas tacy, co tłumaczą i zachwycają się płytkiemi ogólnikami Fagueta („Kochaj Ojczyznę") lub wprost „Szpiegiem" Kistemaekersa. Myśmy bo zapomnieli, że byli śród nas tacy, co chcieli

„z *Polski* uczynić nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska!"

Tak tedy przez jeżeli nie zupełne zerwanie, to w każdym razie fatalne rozluźnienie więzów pomiędzy nami a naszą dawną, rodzimą polską kulturą, dokonało się to, że dziś stoimy w obliczu dziejów, jako sieroty bezdomne, jako aktorzy, którym się ich role gwałtem wkrzykuje w usta, jako bierne igraszki jakowychś mocy, co poza nami i bez nas tworzą nam naszą rzeczywistość i przyszłość naszą. I dopóki się w Polsce nie ugruntuje hierarchja prawdziwa, zbudowana wedle skali ducha, nie zaś tylko podług użyteczności społecznej, dopóki ludzie, na naszem czele stojący, nie uczczą w swej duszy, jako wartości *najwyższej*, owej zdolności do patosu, „zapału, wzruszenia nadzwyczajnego ducha, które wynosi człowieka nad niego samego" (Mickiewicz), dopóki się będą tego wzruszenia wstydzić, jako czegoś rzekomo nie męskiego, zanim nie zrehabilitujemy naszej własnej polskiej kultury i nie zaczniemy w przeszłości naszej przedewszystkiem szukać materjałów do budowy nowej państwowości, zanim proste słowa Wyspiańskiego: „Polska—to wielka

---

najbardziej po bratersku, że będziemy się starali być godnymi waszych uczuć. Każdy z nas będzie usiłował przez najwierniejsze posłuszeństwo waszym rozkazom stać się godnym instytucji, do której nas przyjmujecie". A oddzieliwszy się od loży-matki, Polacy nie wypowiedzieli ani jednego słowa żalu.

Dnia 9 stycznia 1809 roku Polacy z „Świątyni mądrości" zgrupowali się w nowej loży „Świątyni Izydy". „Na nieszczęście za swój główny cel uważała oddawać pierwszeństwo przedewszystkiem polskości a niszczyć wszystko to, co odnosiło się do spójni z masonerją pruską". Również inne loże, które w czasie pruskiej okupacji były bezczynne, skupiły się wokół tej nowej loży. Dn. 22 stycznia 1810 roku zorganizował się w ten sposób „Wielki Wschód Narodowy Wielkiego Księstwa Warszawskiego". Rozrastał się on bardzo szybko i w 1810 roku liczył 13 lóż. Podczas wojny w roku 1812-ym praca w stowarzyszeniach tajnych ustała, lecz rozpoczęła się znowu od października 1813 roku.

Bardzo ciekawe jest zdanie doktora Friedrichsa o Francuzach. Nie zaprzecza, że Francuzi w masonerji polskiej byli reprezentowani, lecz zaznacza, że wpływ ich jakoteż działalność były bez znaczenia i że nie dążyli oni wcale do opanowania lóż polskich.

„Wielkie Księstwo Warszawskie zawdzięczało swą egzystencję życzliwości Napoleona. Fryderyk August, król saski i wielki książę warszawski, był tylko wasalem wielkiego zdobywcy. Czy nie byłoby to zupełnie naturalnem, gdyby Francuzi byli opanowali zarazem i loże? Opanowując te, które egzystowały, byliby mogli wprowadzić swój plan działania. To jednak nie nastąpiło. Wielki Wschód francuski nie tylko nie atakował lóż pruskich istniejących—ale dążył do zaprowadzenia pomiędzy dwoma systemami spójni życzliwej".

„Później, kiedy nie było już niebezpieczeństwa dla lóż pruskich z tamtej strony—można było mniemać, że nowy władca będzie miał ochotę zastąpienia ich lożami saskiemi. Ale Fryderyk August nie należał do masonerji i nie starał się wcale o wprowadzenie lóż saskich".

Jedna tylko loża w Polsce należała do związku Wielkiego Wschodu francuskiego. Utrzymywała ona przyjazne stosunki z polskiemi organizacjami. Posiadała ona bardzo małą liczbę członków, albowiem w Warszawie przebywało nie zbyt wielu Francuzów, i przeważnie byli to żołnierze bawiący przelotnie w stolicy Polski, wpływ ich zatem na masonerję polską był zdaje się minimalny.

IV.

Układy w 1815 roku zatwierdziły Królestwo Polskie. Na masonerję polską nie wpłynęło to w większym stopniu. Wielki Wschód Narodowy Wielkiego Księstwa Warszawskiego zmienił tylko nazwę na Wielki Wschód polski. Jego cele, urządzenia i wykonawcy pozostali.

rzecz" nie wejdą wręcz w krew naszych żył, jako rzecz tak naturalna, jak jej kolor szkarłatny, dopóki treść tych słów nie udzieli się nieodparcie naszemu wzrokowi, pewnemu i radosnemu gestowi naszych ramion, metalicznej dźwięczności naszego głosu, a przedtem jednak jeśli się nie spotkamy wszyscy w jednym zajęku serdecznym u stóp Boga ołtarzy, aby w ogniu żarliwej modlitwy mogła się wreszcie na duszach naszych roztopić „lawa twarda i zimna, sucha i plugawa"—zanim to się wszystko nie stanie, dotąd będziemy mali w oczach własnych i obcych, dotąd się będzie wydawało rozmaitym Wilsonom, że naprawdę mogą *nas* kultury, postępu i wzniosłości nauczyć, dotąd rzeczywistość będzie się wymykała z rąk naszych, aby być kierowaną przez wielkich ojców, niestety, bezdzietnych!

Stanisław Cywiński.

Traktat pokojowy przed Sejmem.

Sejm otrzymał traktat pokojowy do ratyfikacji. Właściwie nie „otrzymał", bo tekstu posłom nie wręczono jeszcze. Dlatego też wyznaczona przez Sejm osobna Komisja Ratyfikacyjna, z 46 posłów złożona, zmarnowała już parę dni czasu. Na pierwsze jej zebranie w poniedziałek, 21 lipca, rząd się nie stawił, a po przerwie przybyły jego przedstawiciel złożył ogólnikowe wyjaśnienia, zupełnie nie wystarczające, jako podstawa do obrad i do wniosków ratyfikacyjnych. Komisja mogła jedynie podzielić przedmiot na główne grupy i wyznaczyć dla nich referentów; sprawę ogólnych warunków traktatu i granic zachodnich powierzono p. Władysławowi Grabskiemu z Gniezna; sprawę terenów plebiscytowych i Gdańska — X. Pośpiechowi ze Śląska; sprawy ekonomiczne—p. Andrzejowi Wierzbickiemu; sprawy odszkodowaniowe—p. Loewenstajnowi; sprawy umowy dodatkowej Polski ze Sprzymierzeńcami — p, Ratajowi. Dopiero we środę Komisja rozpoczęła właściwą pracę od świetnego referatu o przebiegu prac kongresowych, przez delegata Polski na Kongresie p. Władysława Grabskiego. Jako materjał drukowany przedłożono Sejmowi: tekst francusko - angielski i polskie tłumaczenie traktatu z Niemcami i umowy dodatkowej; wyjaśnienia p. Władysława Grabskiego warunków ekonomicznych; sprawozdania Sekretarjatu Generalnego delegacji polskiej: o sprawie warunków terytorjalnych i przebiegu rokowań; o sprawie Śląska; o przebiegu rokowań w sprawie umowy dodatkowej.

Kongres pokojowy zachował w procedurze swojej wszystkie narowy tajnej dyplomacji. Właściwie decydującemi czynnikami były tylko trzy mocarstwa: Francja, Anglja i Stany Zjednoczone; dla zmniejszenia wpływów innych uczestników namnożono kontrahentów przez dopuszczenie długiej litanji państw i państewek amerykańskich i innych zamorskich. Nawet Włochy nie zdołały się do końca utrzymać, jako równoważny czynnik, pokój zawierający, a Japonja wprędce zaszła do roli sekundanta Anglji, nie zajmując żadnego własnego stanowiska w stosunku do spraw europejskich. Początkowo ogłoszono zasadę, że poza pięciu głównemi mocarstwami w sprawach specjalnie inne państwa interesujących każde z nich będzie dopuszczone do udziału w naradach i decyzjach. Zasady tej przestrzegano jednak tylko w fazie przygotowawczej. Utworzono specjalną Komisję dla Spraw Polskich, ale Polakom nie dano w niej miejsca; tak samo w Komisji dla spraw mniejszości narodowych. Komisje kongresowe traktowały państwa specjalnie zainteresowane, nie jako

---

Wielu historyków twierdzi, że car Aleksander I należał do masonerji. Lecz nie zgadzają się oni co do czasu, w jakim to miało mieć miejsce. Doktór Friedrichs wygłasza o tym cesarzu takie zdanie: „Na początku jego panowania ogłoszono nowy zakaz związków masońskich i wogóle tajnych towarzystw. Rozporządzenie to nie wyszło jednak z jego inicjatywy, lecz urzędników mianowanych przez rząd poprzedni. Gdyby nawet cesarz Aleksander I nie był masonem, jak mniemano, to jednak zapatrywania jego i rozporządzenia były raczej przychylne masonerji".

Związki tajne, które w Rosji zostały zakazane w 1794 i w 1797 roku, nie zupełnie rozwiązano. Niektórzy z pomiędzy członków utrzymywali poufne stosunki i zbierali się od czasu do czasu, oczekując tylko odpowiedniej okazji, jak naprzykład po śmierci carowej Katarzyny, ażeby odrestaurować loże i powołać je do życia. W kilka lat później, około 1810 roku, te tajne związki zostały urzędowo zatwierdzone. Dlatego właśnie loże masońskie w Królestwie Polskiem nie rozwiązały się, lecz prosperowały po 1815 roku.

Pomiędzy lożami polskiemi a rosyjskiemi panowały bardzo oziębłe stosunki. Polacy nigdy nie mogli darzyć Rosji zbyt wielką sympatją — a z drugiej strony masonerja rosyjska była dopiero w zawiązku i nie zajmowała się propagandą w Polsce. „Rosjanie mieli bowiem dosyć pracy u siebie bez lóż polskich".

Jednakowoż dnia 12 listopada 1815 roku, kiedy car Aleksander I przybył po raz pierwszy jako król polski w stroju polskiego generała do Warszawy, Wielki Wschód Narodowy witał go z entuzjazmem i umieścił na swym gmachu iluminowany napis: Recepto Caesare felices. „Napis ten—mówi Doktór Friedrichs—był co najmniej niewczesny, lub jego autorowie byli tak zaślepieni, że przeszłość niczego ich nie nauczyła".

Masonerja polska rozwijała się szybko. Przy końcu trzeciego roku istnienia liczyła 33 loże, z których 8 w samej Warszawie, 2 w Wilnie, po jednej w Krakowie, Kaliszu, Lublinie, Mińsku, Płocku i wielu jeszcze innych miastach.

Wpływy niemieckie zmniejszyły się naturalnie wśród wolnomularstwa w Królestwie. Jednakowoż nie wygląda na to, żeby zupełnie ustały, ponieważ doktór Frindrichs mówi: „Wielki Wschód udzielił wyższych stopni również braciom pochodzenia niemieckiego i francuskiego, pracowano zatem, jak niegdyś, w wyższych stopniach". Wyższe stopnie tworzą wyższą masonerję, ta jest więcej tajemnicza od masonerji niższej. Ponieważ Prusacy należeli do tych stopni, wynika z tego, że ich wpływ był zawsze znacznym.

Uczucia cara zmieniły się z czasem. Jego zjazdy z cesarzem austrjackim i z królem pruskim, ostrzeżenia Metternicha, morderstwa dokonane na Kotzebuem w Niemczech i na księciu de Berry we Francji, wybuchy rewolucyjne w Hiszpanji były powodem reakcji w jego zapatrywaniach.

Doktór Friedrichs utrzymuje, że Metternich wywierał zgubny wpływ na cara Aleksandra I, lecz jest on zmuszony wyznać, że „spiskowano w wielu krajach i że tworzyły się stowarzyszenia, mające na celu

stronę, pokój zawierającą, ale jako stronę, między którą, a Niemcami spór rozstrzygnąć miały mocarstwa. Wysłuchano opinji polskich delegatów — a potem bez nich radzono i decydowano; nawet protokułów tych narad delegacji polskiej nie komunikowano; oddziaływanie na te decyzje nie było więc możliwe w drodze urzędowej konferencji, ścięcia się argumentów rzeczowych w samej dyskusji decydującej, ale jedynie w drodze wpływów pozakonferencyjnych, czyli albo przez stosunki osobiste, albo przez urzędowe deklaracje poza bezpośrednim terenem obrad. Stosunki osobiste były bardzo serdeczne — i okazały się pomocne — w stosunku do Francji i Ameryki, ale względem Anglji, możnaby raczej użyć urzędowych przedstawień, dla poparcia delegacji Kongresowej, ale niestety Rząd polski przez cały czas Kongresu nie miał w Londynie swego przedstawiciela. Nie można też oszczędzić pewnego zarzutu p. Ministrowi Spraw Zagranicznych, że pochłonięty pracą kongresową nie polecił nikomu odpowiedzialnemu niezwłocznego zorganizowania urzędowych placówek dyplomatycznych w państwach sprzymierzonych. Rzecz ta była tem szkodliwsza, że podczas gdy w Ameryce pewne zasady moralne i logiczne z nich dedukcje mają wpływ i znaczenie polityczne, w Anglji wrażliwość na takie argumenty jest bardzo mała, a jedynie rzeczowa argumentacja polityczna, stojąca na linji interesu politycznego Anglji, mogłaby coś wskórać. Tymczasem Anglja wyraźnie dążyła do oszczędzenia Niemców i do ograniczenia rozmachu, z jakim wypadki wysuwały Polskę do mocarstwowego stanowiska. Stąd przebiegła dyplomacja niemiecka mogła zawsze liczyć na pomoc Anglji, jej też przedewszystkiem zawdzięczają Niemcy, że Gdańsk nie został Polsce przyznany, że na Śląsku zarządzono plebiscyt, że wreszcie prawo wywłaszczenia Niemców nie zostało, tak jak innym państwom, przyznane Polsce na rachunek należnych Polsce odszkodowań, ale jedynie za bezpośredniem wynagrodzeniem przez wykup, i to nietylko w częściach Polski, Niemcom odbieranych, ale i w pozostałych częściach Polski.

Przy przyjętej na Kongresie procedurze obrona interesów Polski, jak wogóle państw „małych", była niesłychanie trudna: nikt nie wiedział jawnie, co go czeka, jakie są przygotowywane decyzje, przeciwko jakim zamiarom trzeba się bronić i t. d. Ostateczne decyzje w najważniejszych sprawach zapadały zupełnie bez udziału zainteresowanych, w ostatniej chwili przed samem podpisaniem przedstawiano je do wiadomości, nie dając żadnej możności obrony. Tak było z ekonomicznemi klauzulami osobnej umowy, które zakomunikowano delegacji polskiej na 4 dni przed podpisaniem, a paragraf o długach rosyjskich został dodany zupełnie nielegalnie, z przekroczeniem zakresu, wskazanego dla tej umowy przez § 93 traktatu, i został ustnie zakomunikowany Paderewskiemu na godzinę przed uroczystym aktem podpisania traktatu!

Wszystkie frazesy o nowej erze stosunków międzynarodowych, legenda o sprawiedliwości i równości narodów dużych i małych—rozwiała się. W Wersalu nie odbył się Kongres Pokojowy; nie ułożono tam swobodnie, wzajemnie za słuszne i konieczne uznanych warunków zgody między narodami, ale wydano wyrok potężnych zwycięzców na pobitych i sprzymierzonych współzwycięzców, wyrok pełen krzywdzących klauzul, który nawet przyjaciołom został narzucony, rzec można pod presją szantażu: delegaci polscy, podchodząc w uroczystej ostatecznej chwili w szeregu innych delegatów do stołu, na którym po Niemcach podpisywały traktat wszystkie państwa, znaleźli na nim drugi traktat dla siebie, dodatkowy, zawierający niesłychane warunki, przedtem nieznane, przeciwko którym najuroczyściej protestowali; w tej chwili nie

---

usunięcie naczelników rządów". We wrześniu 1821 roku Papież Pius VII ogłosił bullę przeciwko masonerji. Prawie w tym samym czasie wykryto w Rosji rewolucyjny „Związek dobra publicznego", i car zakazał wszystkich tajnych stowarzyszeń w swem państwie.

Od tego czasu masonerja nie egzystowała w tej części Polski, która zostawała pod zaborem rosyjskim. W Austrji została również stłumiona jeszcze przed 28 laty. W ten sposób nieliczne loże, założone przez Niemców w Galicji, po pierwszym rozbiorze w 1772 roku zniknęły. Wynika z tego, że od blisko całego wieku, wolnomularstwo w Polsce mogło swobodnie egzystować tylko w zaborze pruskim.

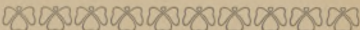
Loże w Bydgoszczy, Toruniu i Poznaniu, które zostały w 1815 roku oddzielone od Królestwa, rozwijały się pomyślnie pod panowaniem pruskiem, a nadto wiele powstało nowo założonych: w Inowrocławiu, w Krotoszynie, w Lesznie, w Ostrowiu, w Rawiczu, w Elblągu, w Malborgu. Każda z tych lóż posiada około 100 członków.

Masoni pruscy nie wyrzekli się nigdy szerzenia swych idei w Polsce. Tę dążność najlepiej można zauważyć podczas wojny. Niemal bezpośrednio po zajęciu przez armię niemiecką Polski i Rosji zachodniej znaleźli się gorliwi masoni, którzy nanowo zaczęli tworzyć loże w tych krajach.

Dzienniki informowały, że 12 marca 1916 roku w Warszawie otwarto w obecności gubernatora nową lożę pod nazwą „Loża polowa żelaznego krzyża". Wkrótce potem Niemcy założyli w Kownie drugą lożę: „Niemiecka Straż nad Niemnem", zależną od loży berlińskiej: „Zu den drei Weltkugeln". Jeszcze inne 3 loże zostały założone w Wilnie i Mitawie.

Historycy polscy nie zapoznają nas z wpływem Prus na masonerję polską. Byli oni przeważnie skłonni do przypisywania Francuzom i Anglikom największego udziału w rozwoju wolnomularstwa w Polsce, lecz nie zawsze na poparcie tego przytaczają dowody wystarczające. Dlatego może będzie rzeczą pożyteczną zapoznanie się co do tego z opinją masona pruskiego, zapoznanie się z jego informacjami i jego zdaniem. Czytając książkę doktora Friedrichsa, odnosi się przekonanie, że wolnomularstwo pruskie miało ogromny wpływ na masonerję polską i że było jednem z narzędzi germanizacyjnych w Polsce.





podpisać nie mogli, bo stali pod presją szantażu ściągnięcia na siebie całej furji świata za przeszkadzanie w zawarciu pokoju i odwlekanie go.

Jak dawniej, tak i nadal, Kongres Pokojowy wersalski potwierdził starą maksymę, przeciwko której rzekomo walczył: siła idzie przed prawem, bo siłą narzucił warunki, które wszelkiemu prawu, słuszności i wolności urągają.

Sejm będzie musiał po gruntownej rozwadze, ratyfikując pod przymusem zawarte umowy, założyć przeciwko ich krzywdzącym warunkom najuroczystszy protest.

Ale — nie zapominajmy, że te krzywdy są tylko plamą na wspaniałem dziele, na dziele cudownem, nieoczekiwanem w marzeniach nawet przez nikogo, bezpośredniego uzyskania w wyniku wojny światowej Polski zjednoczonej, o morze opartej; najśmielszy program polityki narodowej, przez Polskę wystawiony podczas wojny, został w całej rozciągłości urzeczywistniony. O tem nie zapominajmy ani na chwilę. *X.*

Z obrad sejmowych.

Zaraz po ukończeniu obrad i głosowań nad reformą rolną Sejm zajął się najpilniejszą i najważniejszą sprawą: zmiany Rządu. Do tego bowiem sprowadzała się zarówno dyskusja o robotach publicznych i o zajściach 3 lipca w Warszawie, jak i dyskusja budżetowa. Ta ostatnia zwłaszcza małoby znaleźć mogła precedensów w historji parlamentaryzmu: nie było ani jednego mówcy, któryby nie oświadczył w imieniu swego klubu, że temu rządowi żadnego budżetu przyznaćby nie mógł. Pomimo to budżet—przeważnie już wydatkowany—został w pierwszem czytaniu uznany za przyjęty i odesłany do Komisji, która na jesieni dopiero sprawozdanie swoje dla drugiego czytania Sejmowi wygotuje. Krytyce jednak poddano całe postępowanie Rządu i jego niesłychane niedołęstwo we wszystkich dziedzinach. Uderzać ono musi każdego, kto choć pobieżnie przejrzy cyfry budżetu, z któremi naszych czytelników już zaznajomiliśmy. To też słusznie nacisk kładziono na to, że nie widać zgoła wysiłku ze strony Rządu do zbudowania aparatu skarbowego i do wyciągnięcia z dochodów obywateli odpowiedniej sumy podatków, na którychby się praca państwowa oprzeć mogła; widać niesłychane marnotrawstwo funduszów, zwłaszcza w dziedzinie liczebności aparatu urzędniczego, i uderza niesłychanie sumaryczne podawanie sum bardzo znacznych (wielomiljonowych, do setek miljonów dochodzących) bez ścisłego określenia na co i jak wydatkowane być mają. Nawet gdyby Rząd był parlamentarny i gdyby cieszył się całkowitem zaufaniem silnej większości sejmowej—jeszcze nie powinienby mieć tej śmiałości, aby tak dalece dyskrecjonalnego żądać zaufania dla ogromnej części budżetu, a żądanie takie ze strony rządu, mającego być fachowym, ale zaufania żadnej grupy w Sejmie nie posiadającego—jest więcej niż śmiałe. Spotkało się też z kategoryczną odmową: temu Rządowi żaden budżet nie będzie mógł być przyznany.

To też po dyskusji budżetowej było już jasne, że Rząd musi się podać do dymisji. Rozpędem nabytym jednak wykonano jeszcze atak szczegółowy na dwuch ministrów: robót publicznych i pracy, z powodu wniosków Komisji robót publicznych, dotyczących podniesienia wydajności pracy, oraz z powodu interpelacji, dotyczącej wypadków warszawskich z 3 lipca. Atak ten był łatwy, bo z punktu widzenia rzeczowego działalność tych Ministerstw jest jednym skandalem: zamiast zająć bezrobotnych—mnoży się ich, odrywając od pracy pożytecznej przez płacenie za nic nie robienie; za pieniądze rządowe utrzymuje się w postaci urzędników i nadzorców zgraję agitatorów komunistycznych; płaci się miljonowe „zarobki", nie kontrolując zgoła, kto istotnie pracował, a kto tylko do zapisu i po odbiór zapłaty się zgłasza; demoralizuje się lud pracujący przez roboty bezcelowe, przez niszczenie tego, co się zrobiło—i t. d. i t. d. Możnaby poważnie się zapytać, czy państwo nie powinno pociągnąć ministrów do odpowiedzialności cywilnej za zmarnowanie miljonowych sum przez wypłacenie ich ludziom, którym się nie należały, wbrew prawu, przepisującemu warunki tych wypłat, ze szkodą skarbu. Ministrowie miljonów nie mają—ale ukaranie ich wobec niewypłacalności odpowiednią karą za sumy rządowe tak bezmyślnie i niesumiennie zmarnowane, byłoby pożytecznem ostrzeżeniem dla lekkomyślnych urzędników. Dyskusja nad tym przedmiotem nasuwa wszakże jedną refleksję: ton, z jakim traktowano ministrów, był parlamentarnie niedopuszczalny; przez parę dni szarpano dobrą sławę tych ludzi, bez dobierania słów wymyślano im, zapominając zupełnie, że to przecież chodzi o własny rząd polski, którego autorytet i powagę w opinji publicznej niszczy się w ten sposób i na przyszłość. Musimy bardzo poważnie zreflektować pod tym względem mówców sejmowych, bo żaden poważny człowiek nie będzie mógł objąć teki ministerjalnej, ani odpowiedzialnego stanowiska urzędniczego w państwie, w którem ciało ustawodawcze przedstawicieli władzy wykonawczej nie może uszanować. Zapewne, takie śmieszne na ministerjalnych stanowiskach figury, jak Pruchnik, albo Supiński bezpośrednio są winne temu, że do tego doszło, bo bez humoru trudno jest ich robotę krytykować. Ale na przyszłość musimy się zastrzedz, że na ministrów Rzeczypospolitej nie wolno dobierać ludzi, których kompromitująca niekompetencja, nieudolność i brak poczucia odpowiedzialności przynosi ujmę godności państwa.

Przy dyskusji o przyczynach krwawego starcia bezrobotnych z policją 3 lipca, pan Djamand chciał dowcipnie sparować atak z miłych sobie ministrów Iwanowskiego i Pruchnika, na panów Hącia i Karpińskiego. Próba ta, równie śmiała, jak przewrotna, nie udała się, i Izba, prawieby się chciało powiedzieć mimowoli, wyraziła jednak dość znaczną większością wotum zaufania tym ministrom, których wszakże mocno krytykuje, ale których nie może czynić odpowiedzialnymi za bezkarność agitacji komunistycznej.

Wogóle na „śmiałości" lewicy nie zbywa. W dyskusji budżetowej Daszyński miał niesłychany impet napadania na politykę zagraniczną, prowadzoną przez delegację polską na Kongresie, czyniąc ją odpowiedzialną za „straty", jakie w porównaniu z nadziejami naszemi i prawami ponieśliśmy, jakby te „straty" nie były jedynie smutnemi sukcesami niecnej polityki intryganckiej przeciwnarodowej samego Daszyńskiego i jego adherentów.

Obok tych dwuch dyskusyj Sejm załatwił w ostatnich dniach dziesięciu długi szereg pierwszej doniosłości spraw na podstawie sprawozdań Komisji. Pracowitość parlamentarna doszła do zenitu—ale ważnych, pilnych i trudnych zagadnień jest taka masa, tak się wciąż piętrzą przed nami, że pomimo starań o przyśpieszenie feryj—termin ich zdaje się coraz to w niepewną dal odsuwać. *pł.*

Nadużycie imienia katolickiego.

Pisma codzienne przyniosły w zeszłym tygodniu sensacyjne ogłoszenie: Pierwszy (!) wiec katolicki, odbędzie się w Warszawie 20 lipca w Dolinie Szwajcarskiej, urządzony przez Komitet organizacyjny Ligi Katolickiej, utworzony z patronów i seniorów (!!) pięciu związków religijno-narodowych. Przemawiać będą przedstawiciele wszystkich stanów na temat „Konanie inteligencji". W całem ogłoszeniu ani jednego nazwiska, ani jednej „firmy", którąby brała odpowiedzialność za tak „poważną" akcję. Temat o „Konaniu inteligencji" był dobrym sarkazmem, bo jeżeli nie inteligencja, to uwaga i rozwaga zawiodła większość redakcyj, które za dobrą monetę biorąc zapowiedź organizacyjnego zebrania „ligi katolickiej", nieodpowiedzialne ogłoszenie umieściły. Łatwowierność ludzka jest jednak loterją, na którą bezpiecznie stawiać można, bo nawet z niektórych ambon (!) ogłoszono o zapowiedzianym wiecu, a to na podstawie rozesłanych do parafij anonimowych pocztówek następującej treści: „W myśl orędzia J. E. Arcybiskupa, zalecającego Duchowieństwu poparcie odczytów treści religijnej i wszelkiej (!) akcji katolickiej, Towarzystwo Odrodzenia Polski wespół z Włościańskim Związkiem Oświaty proszą o obwieszczenie ludowi z ambony co następuje: Pierwszy wielki wiec katolicki odbędzie się w niedzielę 20 lipca o godzinie 1 w południe w Warszawie, w Dolinie Szwajcarskiej. Wejście wolne. Podczas wieców (?) niedzielnych zapisy do Ligi Katolickiej, mającej na celu: usunięcie Żydów z Polski (!!!) Odczyty i pokazy Ziemi Świętej w 200 obrazach co niedzielę od 5 do 7-ej w sali Muzeum Przemysłu na Krakowskiem Przedmieściu 66.—Wejście za biletami.—Zarząd". Pocztówka nosi na odwrocie dwa stemple: „Towarzystwo Odrodzenia Polski w duchu Chrystusowym — Warszawski Komitet Pielgrzymi" i „Włościański Związek Oświaty w Warszawie, ulica Złota № 5". O pierwszej z tych instytucyj nic nie słyszałem, i zapewne mało kto słyszał; natomiast tytuł jej ma wszelkie cechy „geszeftu pielgrzymiego". Istotnie w Sejmie zgłosił się do mnie przed niedzielą niejaki pan Koziarski, organizator pielgrzymek do Ziemi Świętej, zapewne jeden z patronów czy seniorów tego „religijno-narodowego" związku, z zaproszeniem na wiec. Zapytałem go wręcz, którzy Biskupi tę Ligę Katolicką zaaprobowali, boć tego rodzaju wielkie dzieło, jeśli ma być istotnie katolickiem, musiałoby mieć aprobatę i zapewniony współudział biskupów. Pan Koziarski widocznie pierwszy raz spotkał się z tą fundamentalną zasadą katolicką, bo rozwiódł rękami i patetycznie rzucił retoryczny wykrzyknik: „no, jeżeli tak będziemy każdą rzecz katolicką hamowali!", na co odparłem „tak, panie, w katolickiem przedsięwzięciu to zawsze będzie tak, to nie jest geszeft katolicki"—i uważałem rozmowę za skończoną.

Włościański Związek Oświaty jest również instytucją mało znaną. Na wiosnę zaprosił mnie p. Marceli Nałęcz-Dobrowolski do poświęcenia lokalu tego nowego przedsiębiorstwa kolportażowego. Uczyniłem to chętnie, ale ku wielkiemu memu zdumieniu zręczni agenci handlowi tego przedsiębiorstwa uczynili w kraju z mego nazwiska tytuł reklamowy, jakobym ja zakładał, czy popierał ów Związek Oświaty, skoro jego lokal poświęcałem: Korzystam z okazji, by publicznie stwierdzić, że z tą instytucją nie miałem i nie mam nic zgoła wspólnego, co bynajmniej nie znaczy, aby nie zasługiwała ona na zaufanie i uznanie w swoim zakresie działania.

Zapewne te więc dwie organizacje wydelegowały swoich „patronów i seniorów" do owego tajemniczego Komitetu organizacyjnego Ligi Katolickiej, jako Związki religijno-narodowe (!!).

Kartka, wystosowana do parafij zdradzała również zdolności handlowe autorów—bo dyskontowała z jednej strony autorytet Arcybiskupa, z drugiej sentyment antysemicki, z trzeciej—przyjemność bezpłatnego wstępu, z czwartej—obrazy świetlne, chociaż za opłatą! Wszystko to pięknie—ale w ten sposób katolickiej akcji prowadzić nie wolno.

Wiec się nie udał, naiwnych widać było mało, choć spryt reklamy był pierwszorzędny—ale zdrowy rozsądek ludu widocznie był—sprytniejszy. Na szczęście jednak, pośród trzystu obecnych znaleźli się księża Albrecht i Ugniewski, którzy dobry humor i śmiałość reklamy właściwie słuchaczom oświetlili. Trzeba mieć nadzieję, że następne „wiece", urządzane przez pomysłowych antreprenerów, nie będą miały powodzenia, a może też zrozumieją oni niewłaściwość nazywania ich katolickiemi? Każdemu wolno przedsiębiorstwo prowadzić i reklamować, jak potrafi, ale imienia katolickiego nie godzi się w ten sposób nadużywać.

X. Dr. Kazimierz Lutosławski.

Wojna i polityka.

Druga połowa miesiąca lipca 1919 roku będzie dla Litwy okresem pamiętnym. Jest ona początkiem niepodległego bytowania państwa litewskiego, założonego przez Niemców i troskliwie aż do ostatnich dni przez nich pielęgnowanego. Troskliwość ta posunięta była tak daleko, że niemowlę litewskie nie mogło uczynić ani kroku bez kontroli swego doświadczonego opiekuna, który zmuszał je do postępowania według uświęconych tradycją i wypróbowanych przez wieki zasad krzyżacko-pruskich. Aliści marszałek Foch rozkazał „dobrotliwym Michałkom" opuścić gościnne progi Litwy i wracać do ojczyzny. Niemcy wyszli już z Kowna i innych miejscowości, powoli zaś ustąpią z całej Żmudzi i Suwalszczyzny. Niemowlę pozostało samo. Pożegnało bardzo czule swego opiekuna mowami i strzałami armatniemi i daje sobie jakoś radę. Pojętna uczenica niemiecka—„Taryba" litewska nie straciła czasu i w ciągu dwuletniej edukacji pruskiej nabyła wszystkich potrzebnych do życia państwowego wiadomości. Jeśli kto wątpi, niech przeczyta opis zabiegów litewskich, poczynionych w Mereczu w celu stłumienia „rebelji polskiej" i wzbudzenia wśród mieszkańców wszelkich wyznań i narodowości gorącej miłości ku ojczyźnie litewskiej. Litwa może być już niepodległem państwem. Ma wszystkie potrzebne po temu warunki. Ma armję, która walczy z bolszewikami i broni granic od najazdu (!) polskiego. A jakże. Ma nawet misję ententy w Kownie. Nie ma wprawdzie jeszcze stolicy, ale przy poparciu życzliwem ze strony obrońców małych narodowości może jeszcze otrzymać Wilno, a może nawet i Grodno.

Rząd litewski cieszy się niechybnie zaufaniem i poparciem całego kraju, bo wywalczył sobie nawet uznanie u obcych, czego dowodem wspomniana misja w Kownie. Nawet nie uznająca dotychczas Taryby Polska przysłała do Kowna p. Staniszewskiego i towarzyszów dla pertraktacyj w sprawach polsko-litewskich. Słowem zwycięstwo na całej linji. Przyszłość gospodarcza zapowiada się dla Litwy również świetnie.

Przy życzliwych stosunkach z sąsiadem od zachodu Litwa za swoje ziemiopłody otrzymywać będzie wzamian wyroby fabryczne i materjały, których jej brak, a których Niemcy mają za dużo. I co tu wobec takich horoskopów gadać o federacji czy unji z zachłanną Polską. Taryba w jednym z pierwszych swoich aktów, wydanym w grudniu 1917 roku, obwieszczając światu zawarcie sojuszu z Cesarstwem Niemieckiem, potargała przecież zupełnie jasno i wyraźnie „wszelkie więzy, które dotychczas łączyły Litwę z jakiemikolwiek państwami".

I oto zyskała Polska nowego sąsiada, sąsiada nieżyczliwego, który stanowi posterunek niemiecki, zagrażający Polsce od zachodu i północy. Tym posterunkiem jest państwo Taryby litewskiej. Powiadają, że Niemcy, mający dobrych żołnierzy i wodzów, mają bardzo lichych dyplomatów. A jednakże ci nieszczególni dyplomaci potrafili usidłać, coprawda jeszcze gorszych od siebie dyplomatów—Litwinów, i nawet uśpić czujność bardzo dobrej i fachowej dyplomacji ententy. Łeb hydry niemieckiej, odcięty na zachodzie, odrósł zupełnie nieoczekiwanie na północo-wschodzie. Jedna tylko przewidująca Anglja potrafiła się ulokować w Kłajpedzie. Pozostałe państwa ententy dały się wprowadzić w błąd i ani się spostrzegły jak na miejsce Alzacji wyrósł na wschodzie nowy folwarczek pruski—Litwa.

A cóż na to Polska? Ano Polska śni w dalszym ciągu złote sny o braterstwie ludów, o związkach wolnych z wolnymi i równych z równymi, o tem, czy w zamian za „braterstwo" nie wypadnie oddać Litwinom i rzekomą ich „stolicę" Wilno, a na dokładkę parę miljonów ludu polskiego w niewolę. Wprawdzie ten lud hałasuje, nasyła rezolucje, szturmuje do Sejmu, chce należeć do Polski, ale ten lud pozbawiony jest „instynktu politycznego" i nie rozumie dobra Polski. Rozumie je tylko t. zw. lewica, która zresztą ma monopol wyłączny na rozumienie wszystkiego.

Ma Polska wogóle szczęście do sąsiadów. Na jednym krańcu—Litwa, a na drugim, przeciwległym—Czechy. Również państwo na dorobku, z przyszłością i kształcone na wzorach niemieckich. Ma już dużo, ale jest zdania, iż nie zawadzi mieć jeszcze więcej. Nie wiadomo, jak tam będzie z Rusią węgierską, bo bolszewicy węgierscy tłuką tęgo, a rozkazów ententy nie słuchają, ale zato ze Śląskiem Cieszyńskim stoi sprawa dobrze. Ententa wykreśliła dogodną linję demarkacyjną, w razie potrzeby wywrze nacisk na Polskę i rzecz się załatwi. Będzie trochę kłopotu z ludnością, która—jak na złość—nie chce się za Czechów uznawać, ale na konferencji w Krakowie da się przecie wytłomaczyć Polakom, że oni i tak mają (albo mieć będą) dużo węgla, a Czesi węgla bardzo potrzebują. Czechy węgiel także mają, ale trzebaby go przywozić, a tak Morawy będą go miały bliziutko pod ręką. A skoro się zagarnie Śląsk Cieszyński, to dla zaokrąglenia zabierze się i Orawę i Czaczę. W takim razie Spisz psułby już linję, więc dla względów strategicznych musi on również odejść do Czech. Przydałaby się i Nowotarszczyzna, ale o to już zbyt wiele byłoby hałasu. Dlaczego nie brać, jeśli brać można.

Jeszcze kilka miesięcy temu marzyliśmy o zjednoczeniu wszystkich Polaków pod skrzydłami Orła Białego. Oglądaliśmy nawet mapy, zaakceptowane przez ententę. Marzyliśmy cudnie — srodze nas zbudzono. Obym był złym prorokiem—ale tak jak dziś rzeczy stoją—dzieło zjednoczenia wszystkich Polaków nie będzie jeszcze przez traktat Wersalski dokonane. Zadano nam już rany na granicy zachodniej. Przynależność Śląska zawisła od plebiscytu. To samo będzie z Mazurami i częścią Prus Królewskich, a południe i wschód

---

X. Dr. BOLESŁAW WILANOWSKI.

Towarzystwo imienia papieża Benedykta XV.

Przed dwoma laty powstało w Krakowie „Towarzystwo imienia J. Św. papieża Benedykta XV". Statut tego towarzystwa (§ 3) tak mówi o jego celu: „Celem towarzystwa jest z wykluczeniem spraw politycznych:

a) zjednoczyć uczonych stojących na gruncie zasad nauki katolickiej i prawa chrześcijańskiego, dla wspólnego uprawiania umiejętności, a w pierwszym rzędzie prawa Kościoła Katolickiego, tudzież rozkrzewiania tegoż znajomości ze szczególnem uwzględnieniem stosunków kościelnych, prawnych, społecznych, oraz chrześcijańskiej kultury na ziemiach polskich i

b) skupić zwolenników i przyjaciół nauki katolickiej, chrześcijańskiego prawa i chrześcijańskiej kultury dla skutecznego popierania celów i zadań Towarzystwa".

Jak z tego widać Towarzystwo to ma przed sobą niezmiernie doniosłe zadanie.

Pomiędzy uczonymi naszymi mamy wielu ludzi, którzy stoją szczerze i otwarcie na gruncie zasad katolickich. Ci ludzie jednak, będąc rozproszonymi po różnych zrzeszeniach, mających jakieś specjalne cele, jakby ginęli w cieniu, tak, że mało kto wiedział o ich przekonaniach katolickich. A tymczasem nasza pół- i ćwierć inteligencja, nie widząc naokoło siebie jakichś zgrupowań katolickich uczonych, a słysząc dość o antyreligijnych zwątpieniach tych czy owych przedstawicieli nauki, gotowa była sądzić, że nauka jest to coś, co się z religją pogodzić nie da. W tych warunkach samo istnienie tego rodzaju zrzeszenia, co Towarzystwo im. pap. Benedykta XV, będzie stałą, ciągłą apologją. Na tem polega w pierwszym rzędzie jego doniosłe znaczenie.

Następnie jest rzeczą wiadomą, że bodaj największe wysiłki jednostki nie zdołają nigdy tyle zrobić, czego dokonają ludzie zgrupowani w jakiejś organizacji. A u nas jest tyle do zrobienia. Od siódmego dziesiątka lat — żeby już dalej nie sięgać — stale nam podawano wyniki badań naukowych w jakiemś specjalnem oświetleniu. Tyloletniej pracy innych trzeba przeciwstawić coś równie wielkiego, coś, czego dokonać zdoła tylko liczniejsze zrzeszenie mężów nauce oddanych, a przejętych gorącą miłością Kościoła i Ojczyzny.

Uczeni nasi, zgrupowani w Towarzystwie imienia Benedykta XV, zdążyli wystąpić już na forum publiczne z własnem wydawnictwem. Jest niem: „Polonia sacra. Wydawnictwo naukowe Towarzystwa im. papieża Benedykta XV. Pod redakcją X. Jana Fijałka, prof. Uniw. Jagiell.". (Kraków, 1918). Dotąd wyszły już dwa tomy. Na treść tomu pierwszego składają się:

to tymczasem zagadka. W bólach się Polska rodzi. Cała tylko nadzieja, że w cierpieniach tych Polska zmężnieje i dojrzeje. Może na miejsce naszej t. zw. „dobrotliwości", z którą w parze idzie niedołęstwo, wystąpi wreszcie siła charakteru, moc, energja. Może nareszcie przejawią się w czynie te nasze wielkie, wzniosłe cechy, które w sobie czujemy, a które jakby zasnęły, zamarły i nie dają się uzewnętrznić. Wchodzimy znowu do społeczności narodów. Ale wstępujmy—jak nam się słusznie należy—w roli dojrzałego, dorosłego jej członka, a nie w roli lękliwego, prowadzonego za rączkę dziecka.

Z.

† Ś. p. X. Leon Kulwieć.

Na łamach „Sprawy" niedawno p. Ant. Puchała, omawiając w artykule „Odrodzenie religijne śród młodzieży", jednodniówkę młodzieży sodalicyjnej pod tyt. „Ryngraf", wyraził się, że budzi ona uczucia czci, szacunku i uznania dla kierowników tej młodzieży obok radości, podziwu i sympatji dla niej samej. To gorące, a wprost odruchowe uznanie autora należy się niemal wyłącznie ś. p. X. Leonowi Kulwieciowi.

On był tym siewcą i pieczołowitym pracownikiem, który w sercach młodzieży wypielęgnował zdrowe ziarna czynnego życia religijno-moralnego, którego świadectwo w formie tak czystej, tak pięknej, a tak entuzjastycznej i apostolskiej dała nam warszawska młodzież sodalicyjna.

Słuszną jest rzeczą, by postać ś. p. X. Kulwiecia, tak droga młodzieży, a społeczeństwu zasłużona, była przez ogół bliżej poznana.

Uczynić to należy tem więcej, że On już nie wśród nas, a przed Bogiem — odszedł po zapłatę niebieską d. 21 maja r. b.

Ś. p. X. Leon Kulwieć, syn powstańca-sybiriaka z 1863 r., urodził się w r. 1879 w Jagielniszkach, ziemi Suwalskiej, w zacisznym dworku litewskim, z zacnych i bogobojnych rodziców, Wincentego i Leonji z Pawłowskich. Od lat młodocianych okazywał poważnie myślący umysł, wrażliwe na potrzeby bliźnich serce i wielkie ukochanie Sprawy Bożej, nacechowane gorącą a głęboką pobożnością i prostotą. To też po ukończeniu gimnazjum w Suwałkach, wstępuje w roku 1897 do seminarjum duchownego w Kownie, gdzie dla zalet charakteru i umysłu zwraca uwagę przełożonych i zostaje wysłany w r. 1901 na wyższe studja do Akademji Duchownej w Petersburgu.

Po ukończeniu Akademji ze stopniem magistra św. Teologji, otrzymuje święcenia kapłańskie w Petersburgu w roku 1904 z rąk ówczesnego metropolity mohylewskiego X. Szembeka, i pierwsze dwa lata pracuje jako wikarjusz na Żmudzi. Ponieważ jednak okazywał zawsze szczególne zamiłowanie do pracy nauczycielskiej i wychowawczej wśród młodzieży, więc mianowano go w r. 1907 prefektem gimnazjów i szkoły realnej w Libawie.

Była to pierwsza placówka X. Kulwiecia wśród młodzieży, objęta w czasach wyjątkowo trudnych, porewolucyjnych, pełnych powszechnego fermentu oraz anarchji pojęć społecznych i moralnych. Trudności te zwiększała jeszcze różnorodność narodowościowa młodzieży katolickiej w Libawie, na którą składali się Polacy, Litwini i Łotysze. To też początkowo młodzież dopuszczała się na lekcjach różnych nietaktów i urządzała nawet demonstracje, manifestując wrogie stanowisko wobec Kościoła i religji. Miłość i spokój, jakie X. Kulwieć posiadał, wskazały mu drogę jak

---

Życzenie i błogosławieństwo Papieskie. Nasz program. I. Władysława Abrahama: Nowy Kodeks Prawa kanonicznego. II. Tadeusza Sinki: Liryka św. Grzegorza z Nazjanzu. III. X. Jana Fijałka: Przekłady pism św. Grzegorza z Nazjanzu w Polsce. Studjum o patrystyce naszej. IV. Odbudowa moralna kraju. Tom drugi zawiera: I. X. Tadeusza Gromnickiego: Nowy Kodeks Prawa kanonicznego o małżeństwie. II. X. Jana Fijałka: Tekst kanonów nowego Kodeksu o małżeństwie w przekładzie polskim.

Pod nagłówkiem: Nasz program, czytamy: „Zdążając do zrzeszenia uczonych, przyznających się szczerze i otwarcie do zasad religji katolickiej, zamierzyło (Towarzystwo im. papieża Benedykta XV) podjąć wydawanie organu naukowego, w którymby się mieściły rozprawy, studja, materjały, recenzje i wiadomości o sprawach i zagadnieniach, dotyczących nadewszystko prawa i życia Kościoła w Polsce, zarówno dzisiejszej, jakoteż i w jej przeszłości; winny się w nim znaleźć badania i omówienia zasadnicze, jak również krytyczne, także z innych dziedzin życia narodu naszego. Uznajemy wielką doniosłość i wartość dóbr i wytworów materjalnych w postępie obecnym ludzkości; rozumiemy przecież, iż śledzić, poznawać i rozważać należy szczególniej dziedzinę życia duchową, gdyż z niej jako z właściwego źródła wytryska moc twórcza i siła kierownicza w rozwoju i losach każdego człowieka, narodu oraz całej społeczności ludzkiej. Zwłaszcza dzisiaj, w chwili przełomowej, trzeba nam wskazywać i oceniać nowe i stare objawy, prądy i potrzeby życia naszego bądź w ich całokształcie, bądź też na polach jego poszczególnych, tych mianowicie które wchodzą w program prac naszego Towarzystwa a więc na polu kościelno-prawnem i historycznem, etycznem, oświatowem, cywilizacyjnem i społecznem.

A czynić to będziemy w sposób przedmiotowy, jaki jest właściwy pracy naukowej. Wskazując zaś i zastrzegając swojemu wydawnictwu charakter naukowy, pragniemy stwierdzić, że uczeni katoliccy mogą się poruszać całkiem swobodnie w swych pracach i badaniach, a wobec faktów pozytywnych i świadectw niezbitych nie są zniewoleni zawieszać lub taić swojego sądu naukowego. Nietylko mogą, ale i powinni wypowiadać się z istotną wolnością myśli naukowej i badania umiejętnego, nie powodując się żadnemi widokami postronnemi ani osobistemi względami". Taki jest program Towarzystwa.

Ponieważ „warunki wśród wojny obecnej udaremniają jeszcze na razie wydawanie czasopisma perjodycznego, jak było zamierzonem pierwotnie, musimy tedy poprzestać na ogłaszaniu odczytów, rozpraw i studjów w osobnych poszytach i tomach pod tytułem: „Polonia sacra".

Na pierwszem miejscu jest w I tomie „Polonia sacra" umieszczony odczyt inauguracyjny prof. d-ra Wład. Abrahama ze Lwowa na pierwszem zebraniu uroczystem Towarzystwa im. pap. Benedykta XV-go w auli Collegii Novi Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie dnia 17 maja 1918 roku p. t. „Nowy Kodeks Prawa kanonicznego".

„Publikacja nowego kodeksu prawa kanonicznego, wystosowana do całego episkopatu tudzież do dokto-

najdalej idącej wyrozumiałości i zupełnego poświęcenia, gdyż znajdował, że młodzież ta bardziej zasługuje na współczucie i przyjacielskie traktowanie, niż na potępienie.

Prześladowania rosyjskich władz szkolnych, ich system szpiegowsko-policyjny, skierowany przeciw przejawom najszlachetniejszych uczuć narodowych i pracy ideowej, budziły w młodzieży rozgoryczenie, podejrzliwość i nienawiść do wszelkiej zwierzchności, pchały ją w objęcia tych, co z tym systemem walczyli, co prowadzili robotę podziemną przeciw rządowi, a więc do socjalistów i rewolucjonistów. W parze z tem szła niewiara, tem łatwiej, że zdawna młodzież libawska była pod względem religijnym zaniedbana.

X. Kulwieć, szanując każde szlachetne przedsięwzięcie młodzieży, wczuwając się w jej troski, aspiracje, dopomagając w jej zamierzeniach i współdziałając nawet w pracy ukrytej przed nienawistnemi władzami rosyjskiemi, zyskiwał stopniowo zaufanie, szacunek i miłość.

We wszelkiej pracy X. Kulwiecia przebijała zawsze drobiazgowa planowość, ład, systematyczność i konsekwencja w działaniu. Od przedsięwzięcia raz spokojnie i dobrze obmyślonego nigdy nie odstępował mimo największych trudności, i nie dał się też łatwo pozyskać do nowych, choćby najponętniejszych, projektów, o ileby pierwszemu stały na przeszkodzie i dopóki go jeszcze nie przeprowadził.

To była najwybitniejsza i najcharakterystyczniejsza cecha w działaniu X. Kulwiecia. Ona sprzyjała temu, że każde jego przedsięwzięcie, niejednokrotnie drobne, niepozorne, wydawało trwałe, a w skutkach doniosłe owoce.

W Libawie skupiał młodzież najpierw pod hasłami narodowemi, rozwijał w niej uczucie miłości ku Ojczyźnie, potem wysunął ideały etyczne, a kiedy młodzież poznała i ukochała wzniosłość cnót — czystości, prawdy, dobra i piękna moralnego, kiedy odczuła wprost entuzjazm i gotowość apostolskiego działania, zespolił hasła patrjotyczne i ideały etyczne z głębszem życiem religijnem i pracował już stale pod sztandarem filareckim. Sztandar ten dobrze jest znany tym, co brali udział w życiu zbiorowem młodzieży polskiej na Litwie — w Wilnie, w Kownie, w Dynaburgu i Libawie, tym, którzy potem, będąc na studjach wyższych w Petersburgu, szczególnie skupili się w „Odrodzeniu", znany im też dobrze osobiście lub ze słyszenia X. Kulwieć.

Ale i młodzież z Królestwa poznała X. Kulwiecia, zanim jeszcze przybył na stałe do Warszawy. Maturzyści szkół polskich udawali się bowiem do Libawy, by tam zdobywać maturę rządową. X. Kulwieć służył im wtedy najtroskliwszą opieką, poparciem, gościnnością, a przedewszystkiem sercem tak przyjacielskiem, tak pełnem pociągającej prostoty, że tych przygodnych znajomych często zyskiwał na zawsze i wywierał wpływ na kierunek całego ich życia. Dla niektórych z nich minął lat dziesiątek, przeplatanych studjami zagranicą, służbą wojskową w różnych szeregach i tułaczką po frontach, troskami rodzinnemi, a przecież węzły zadzierzgnięte z X. Prefektem nie osłabły, lecz stały się silniejszemi. Studenci, nauczyciele, młodzi lekarze, oficerowie legjonowi, jako dawni jego uczniowie, korzystali ze sposobności, by go po długiem niewidzeniu nietylko odwiedzić, ale by uczynić zadość potrzebie serca, zwierzyć się po przyjacielsku z zamiarów, trosk, opowiedzieć o swych pracach, doznać rady, pociechy. Przy tej sposobności radzi też otwierali serce w sakramencie pokuty, oczyszczając z ułomności i upadków swe dusze, by pokrzepieni słowem przebaczenia i pociechy iść dalej drogą obowiązku i sumienia. I kto wie, czy właśnie ta moc

---

rów i słuchaczy uniwersytetów katolickich i seminarjów, mimowoli nasunąć musi wspomnienie tych wrażeń niezwykłych, jakie odniosły w w. XIII najznakomitsze uniwersytety ówczesne, paryski i boloński, gdy pod ich adresem ogłoszoną została pierwsza kodyfikacja prawa kanonicznego, dokonana w r. 1234. Owa chwila, kiedy papież Grzegorz IX oddał nową księgę praw, opracowaną przez Rajmunda z Pennaforte do użytku władz kościelnych i nauki, upamiętniona w Stanzach watykańskich mistrzowskim pędzlem Rafaela, posiadała ogólno-światowe znaczenie, gdyż obok dawnego prawa rzymskiego, skodyfikowane zostało prawo inne, również o tendencji uniwersalnej, które było wówczas najdoskonalszym i najkulturalniejszym wyrazem prawa, a obejmowało, jak i ówczesna działalność Kościoła, wszystkie niemal kierunki życia, tak z zakresu stosunków publicznych jak prywatnych. Ten kodeks Grzegorza IX miał się stać na długo wzorem dla ustawodawstwa, nauczycielem i wychowawcą na polu prawa ludów Europy.

Dnia 28 czerwca 1917 r. odbyła się w Watykanie podobna scena, jakgdyby z fresków Rafaela w życie przeniesiona, kiedy kardynał Gasparri w obecności 26 kardynałów i wielu innych dostojników kościelnych, wręczył papieżowi Benedyktowi XV kosztownie oprawny egzemplarz nowego kodeksu. Spełniło się dzieło zdawna upragnione, a w dziejach Kościoła Katolickiego nowa i świetna wypełniła się karta".

Jakkolwiek brak kodyfikacji nie jest oznaką zacofania — czego dowodem choćby cywilne prawo angielskie, — to jednak dla ustalenia i pewności stosunków prawnych kodyfikacje są konieczne i każde wyżej rozwinięte ustawodawstwo dąży do kodyfikacji. Ona też w historji każdego prawa stanowi moment niesłychanie doniosły, stanowi dowód jego postępu i wyższej jego kultury. Tymczasem kodyfikacja nie jest rzeczą łatwą, jak o tem świadczą dzieje całego szeregu europejskich kodeksów. „Nie chodzi to bowiem o proste i mechaniczne zestawienie i uporządkowanie przepisów istniejących, lecz o pracę twórczą, obejmującą zarazem rewizję, reformę i uzupełnienie prawa dotychczasowego na podstawie organicznego ujęcia jego całości.

Kodyfikator musi posiadać i wyszkolony zmysł historyczny, aby właściwości czasów ubiegłych i doniosłość przekazanych przez nie form prawnych odczuć, zrozumieć i należycie zużytkować; a nadto musi mieć zdolność sformułowania odpowiednich zmian lub zasad nowych i uchwycenia każdego pojęcia i poszczególnych norm prawnych we wzajemnem oddziaływaniu i stosunku i w żywym związku z systematyczną całością"

(Dokończ. nastąpi).



sakramentu, administrowanego z tak głęboką miłością i świętobliwością, nie wywierała tego doniosłego wpływu, z przyczyn którego sama młodzież nie umiała sobie zdać sprawy?

Wytężona praca w Libawie nadwątliła zdrowie X. Kulwiecia, wskutek czego wyjechał w r. 1910 na kurację do Szwajcarji.

W tym czasie we Fryburgu odradzał się prześladowany po r. 1863 i wygasający zakon X. X. Marjanów. X. Kulwieć, usilnie dbający zawsze o własne uświęcenie, wstępuje tam w r. 1911 w szeregi pierwszych nowicjuszów odradzającego się Zgromadzenia i spędza rok czasu w nowicjacie, uczęszczając jednocześnie na uniwersytet dla pogłębienia swej wiedzy, zwłaszcza w zakresie psychologji i pedagogiki.

Po złożeniu ślubów zakonnych w r. 1912 wraca z Fryburga do kraju i na stałe pozostaje w Warszawie. Początkowo zamieszkał jako kapelan przytułku dla starców na ul. Młynarskiej, a jednocześnie pracował jako prefekt gimnazjum Rychłowskiego. W czasie zaś wojny od r. 1915 został rektorem kościoła Dzieciątka Jezus na ulicy Moniuszki oraz prefektem i wychowawcą w gimnazjum im. Zamoyskiego.

Zaraz po przybyciu do Warszawy X. Kulwieć starał się zbliżyć do młodzieży, pracującej już w kierunku odrodzeniowym, na fundamencie zasad Chrystusowych, a więc grupującej się przy miesięczniku „Prąd".

X. Kulwieć miał dla tej pracy głębokie uznanie, a dla jej kierowników i uczestników serdeczną przyjaźń. Praca „prądowa" była bardzo znamienną w tym czasie, kształciła ludzi po katolicku głęboko uświadomionych, znających zasady wiary i ich konsekwencje w życiu społecznem i obyczajowem, nadto znających doskonale współczesne prądy religijno-filozoficzne, nurtujące na Zachodzie. Srodowisko to wyrabiało ludzi wysoko moralnie wyrobionych, katolików praktykujących, noszących jednakże piętno wybitnie religijno-intelektualne. X. Kulwieć cenił to, ale widział, że można iść już dalej ku bliższemu obcowaniu z Bogiem. Zbierał tedy u siebie na Młynarskiej najbardziej wyrobioną duchowo młodzież na konferencyjki religijne, przez które zbliżał uczestników do głębszego poznania mistycznego życia Chrystusa, wznosił ich serca do głębszej czci i miłości, obudzał pragnienie częstego przyjmowania Chrystusa Pana w Komunji Świętej.

Wpływ X. Kulwiecia był głęboki, silny, choć nie oparty na żadnym z tych darów, co u świata są w cenie, co pociągają tłumy. Nie posiadał bowiem ani porywającej wymowy, ani powabnej swobodnej wesołości, ani pociągającej, wylanej serdeczności. A jednak wywarł wpływ tak nieprzemijający, że niejeden zda się złotousty mówca, nawet o głębszym umyśle, zapewne mu nie dorówna.

Cóż więc jednało serca młodzieży, czem zyskiwał jej zaufanie? Głęboką miłością, prostotą w obejściu, wielką mocą ducha, połączoną ze świętobliwością życia. Wpływ jego był stały, przenikał do młodych serc cicho, niepostrzeżenie, by w nich budować przybytki cnót z miłości ku Bogu.

Młodzież żywiła dla X. Kulwiecia głęboki szacunek, cześć nawet, oparte nie na przemijających poruszeniach serca, ale na spokojnem przekonaniu o jego prawości i świętobliwości, gdyż widziała harmonję życia i głoszonych prawd, a nie spostrzegła nigdy rozdźwięku między jego czynami i nauką. Miłość bliźnich a szczególnie młodzieży przejawiała się u X. Kulwiecia w czynach zawsze i wszędzie, bez względu na usposobienie, na stan zdrowia, niezależnie od jakichkolwiek sympatyj, bez względu na trudy, niebezpieczeństwa lub wyraźną niewdzięczność.

Pracowitość była także znamienną jego cechą. Wstawał zwykle o g. 5-ej rano, po odprawionej medytacji i Mszy św. spędzał czas od g. 8 do g. 2 lub 3-ej w gimnazjum, a resztę dnia poświęcał spowiedziom, konferencjom, zebraniom, wizytacjom różnych burs, kółek młodzieży, przyjmowaniu i odwiedzaniu swoich uczniów.

Młodzież gromadził u siebie nietylko na liczniejsze tygodniowe zebrania Sodalicji Uczniowskiej i Akademickiej, ale prócz tego poświęcał stale godzinną konferencję w tygodniu tym, co pragnęli poznać drogę powołania swego.

Niemal codziennie odwiedzali go obecni lub dawni uczniowie, szukając rady, pociechy, pomocy, zachęty. I znajdowali je. X. Kulwieć każdego ze swoich uczniów choć raz w roku musiał odwiedzić we własnem mieszkaniu.

W wypadkach choroby odwiedzał ich w domu, w szpitalach; w czasie grasujących epidemij, zwłaszcza tyfusu, pomimo największego zajęcia, często sam chory, spieszył do swej ukochanej młodzieży z pociechą, modlitwą i opieką troskliwą. Chorym posyłał lekarzy, lekarstwa, zasiłki na odżywianie, wyjednywał wypoczynek na wsi, dla niezamożnych troszczył się o odzienie, o dach nad głową, o zapłacenie wpisu. I najczęściej czynił to z niezwykłą delikatnością, przez osoby trzecie, tak, że domyślano się tylko, że on był tym opiekuńczym aniołem.

To też wyznawano mu swoje zamiary, skłonności, afekty i słabości we wszelkich wypadkach — nietylko, gdy Bóg do służby kapłańskiej wołał, lecz i wtedy, gdy serce ziemska wybranka posiąść miała. X. prefekt dawał błogosławieństwo na dalszą drogę życia do wybranych zawodów, błogosławił przy wdziewaniu sukni kapłańskiej, błogosławił związki małżeńskie, udzielał ostatnich Sakramentów św. na drogę wieczności.

I nie narzekał nigdy X. Kulwieć na młodzież, nie mówił o trudnych czasach, unicestwiających dobre poczynania. Przeciwnie, gdy w r. 1915 objąwszy kierownictwo i opiekę letniska dla młodzieży w Otwocku, widział szlachetny entuzjazm serc młodych, pałających pragnieniem poświęcenia dla Ojczyzny, by wolność jej przywrócić, pisał w swoich notatkach ze znamiennym zapałem o tej piękności i szlachetności dusz polskiej młodzieży, które go pobudzają, by utrwalić, by rozwinąć te skarby dla społeczeństwa i Boga przez zbliżenie młodzieży do Chrystusa i Marji — wtedy to, wyraźnie zaznacza, postanowił założyć Sodalicję Marjańską.

Lat trzy zaledwie istnieje Sodalicja Uczniowska, a dwa niespełna Akademicka i to w czasach tak nienormalnych.—Z owoców poznajemy pracę X. Kulwiecia. Wprawdzie szerszemu ogółowi nie może być znana praca tych kilkunastu dziesiątków uczniów i paru dziesiątków studentów, co przedewszystkiem do urobienia własnego zmierzają. Ale w tych, co ich poznali, budzą uznanie, szacunek i radość.

Ci, co wyraźnie przyznają się do wpływów X. Kulwiecia i z wdzięcznością go wspominają, siedzą nietylko na ławach szkolnych i uniwersyteckich, ale widzieć ich można wyróżnionych w szeregach walczących wojsk polskich, niektórzy polegli nawet już zaszczytnie w boju, innych ze zdobytemi już stopniami naukowemi widzimy na stanowiskach społecznych, paru kroczy drogą naukową. — A do chwili ostatniej byli ze swym prefektem w kontakcie.—Już po śmierci

nadszedł spóźniony list pełen serdeczności od b. ucznia, lekarza-legjonisty, do „Kochanego X. Leona", inny z frontu lwowskiego nadesłał wieniec na trumnę ukochanego prefekta, uwiadomiony o śmierci przez swoich rodziców.—„Ryngraf", który obudził taką cześć dla **Wychowawcy** jego autorów, wyznaje na ostatnich stronicach, kim był ś. p. X. Moderator dla Sodalicji.

Kim był wogóle dla młodzieży? Młodzież o tem świadczy! Jeden ze studentów, nawet nie uczeń X. Kulwiecia, ale korzystający z nauk jego i duchowego kierownictwa, pisał do mnie z b. zaboru pruskiego: „Wiadomość o śmierci X. Kulwiecia głęboko mnie dotknęła, taka to była idealna postać kapłana-obywatela! Działał cicho, spokojnie w murach swego kościoła, prócz młodzieży, nikomu prawie nieznany, a jednak Bóg jeden wie, czem on był dla nas!

Plon, który za łaską Bożą wyda ziarno ewangeliczne, ręką jego w serce młodych rzucone, najlepiej zaświadczy o zasłudze. Naturalnie, że pracy przezeń rozpoczętej porzucać nam nie wolno i nie porzucimy! Ale jak smutno pomyśleć, że jego inicjatywy nie stało!—Niewiele mówił, zachęcał niewiele; a jednak było w nim coś, co nas pod jego sztandar ściągało, wskazywało drogę obowiązku i prawdy. — Niech mu tam Bóg wysokie miejsce wyznaczy!"

Nietylko ku czci ś. p. X. Leona te słowa świeżych wspomnień rzucam, bo on prócz chwały Bożej i szczęścia bliźnich, zwłaszcza młodzieży, niczego więcej nie pragnął. Lecz, by zwrócić uwagę tych, co tę pracę uznają, a nawet jej owoce podziwiają, by przyszli z pomocą placówkę po ś. p. Kulwieciu utrzymać i rozwinąć. Uświadomieni katolicy świeccy, pracujący zwłaszcza na polu wychowawczem, niechaj się zbliżą do młodzieży sodalicyjnej, niech jej dopomogą przez udział w kołach samokształceniowych, w odczytach, w dyskusjach, niech zachęcają otaczającą ich młodzież do poznania sodalicji, niech wskazują drogę pracy naukowej w swoich specjalnościach tym sodalisom, którzy okazują pokrewne zamiłowania.

Miejscem, ogniskującem pracę X. Kulwiecia, był kościołek Dzieciątka Jezus na ulicy Moniuszki. On go dopiero ożywił i uczynił najmilszem ustroniem dla dusz młodzieży. Przejęty czcią i miłością ku Bogu i Kościołowi, dbał, by wszelkie nabożeństwa odbywały się z największą okazałością, zwłaszcza podczas większych uroczystości kościelnych, narodowych i poświęconych dla młodzieży. Kościołek był wtedy zdobiony z największą starannością w kwiaty, rzęsiście oświetlony, najpiękniejsze aparaty kościelne widniały na ołtarzu i przyodziewały kapłana, a o ile mógł urządzał wtedy nabożeństwa z asystą kleru lub zapraszał do celebry wyższych dostojników Kościoła. Młodzież zaś brała w tych przygotowaniach i w samem nabożeństwie żywy, czynny i radosny udział. Ubierała ołtarze, stroiła kościołek, gotowała żłobek i grób Chrystusa Pana, usługiwała do Mszy św., brała udział w procesjach, wykonywała śpiewy chóralne, akompanjowała na skrzypcach. Znane były wszystkim miesięczne adoracje Najświętszego Sakramentu, zaprowadzone dla ogółu młodzieży męskiej, na których zaproszeni kapłani lub sam X. Kulwieć miewali odpowiednie konferencje.

I młodzież to wszystko podnosiło, uszlachetniało, czyniło wierną, wytrwałą, odważną w przekonaniach, dawało jej radosną łatwość w manifestowaniu swoich uczuć wśród kolegów i obcych, a nacechowane to było prostotą i szczerością niemal dziecięcą u młodzieży całkiem dojrzałej. — Jakież to było rzewne i wzruszające, gdy w kościołku Dzieciątka Jezus J. E. X. biskup Szelążek umywał nogi dwunastu najstarszym sodalisom w roli apostołów, w wielki czwartek r. b. Można być pewnym, że wniknęli oni wtedy w całą głębię tej boskiej tajemnicy miłości i pokory Chrystusowej. A przecież nawet wysoce uświadomiona młodzież katolicka, praktykująca, czysta moralnie, publicznie stająca w obronie Kościoła, przed laty 10 — 15 czułaby się w komży lub np. przy ceremonji umywania nóg niemal jak pod pręgierzem. Toż ja sam tak czułem, i dopiero w kilka lat po ukończeniu studjów zrozumiałem i odczułem to, co dano tej młodzieży zrozumieć. — I zazdrościłem jej!

Zaprawdę, X. Kulwieć nie był formalistą lub tylko pietystą, gdy tak zbliżał młodzież do Kościoła, do ołtarza, do ceremonij kościelnych, ale działał jako głęboki psycholog-wychowawca.

Na parę miesięcy przed śmiercią zapragnął tę pracę rozwinąć, by promieniami nauki Chrystusowej i pięknością kultu najdalsze i najzimniejsze serca młodzieży zapalić, pociągnąć. Dlatego starał się by Warszawa mogła posiąść **Kościół wyłącznie dla młodzieży**.

Gdyby nabożeństwa, nauki, spowiedzie, rekolekcje, święcenie uroczystości kościelnych, narodowych, szkolnych, korporacyjnych, a nawet osobistych, odbywały się **w kościele własnym młodzieży**, możnaby uczynić wszystko, aby młodzież skupić, aby ją podnosić, wychowywać i uświęcać. Posługi parafjalne, chrzty, pogrzeby, spowiedzi innych wiernych temu przeszkadzają. X. Kulwieć marzył o takiem urządzeniu kościoła, gdzie jego rektor czy kapelan, miałby na względzie takie zorganizowanie kościoła, by odpowiadał wszelkim potrzebom duszy, serca, umysłu, i wygody młodzieży. Kościół powinienby być piękny, posiadać doskonały chór i piękną muzykę, zorganizowaną z pośród młodzieży, świecić czystością, porządkiem, punktualnością, nabożeństwa odbywałyby się z najliczniejszym czynnym udziałem młodzieży; nauki, konferencje, rekolekcje dla wszystkich uczelni tamby się odbywały. Codziennie w oznaczonych godzinach, jaknajlepiej dobranych, spowiednik oczekiwałby na młodzież. Wszelkie uroczystości byłyby obchodzone z największą okazałością tylko w kościele młodzieży. Przy kościele winnaby być sala na zebrania towarzystw religijnych młodzieży, jak konferencje św. Wincentego à Paulo, Sodalicja Marjańska, Związek ministrantów uczniów, chóry kościelne, czytelnia pism katolickich, bibljoteka.

Takiego charakteru nie mógł posiadać kościołek Dzieciątka Jezus, który jest prywatną własnością i był przeznaczony do użytku kolonji litewskiej. Młodzież mogła tylko w większej mierze korzystać z niego, gdy X. Kulwieć był jego rektorem, obsługując kolonję litewską. Znając język litewski, choć Litwinem nie był, służył chętnie opieką religijną dla Litwinów, ale czuł, że to pochłania mu zbyt wiele czasu i jest przeszkodą w pracy nad młodzieżą. Dlatego pragnął uzyskać jakiś Kościół, lub nawet którą z cerkwi lub gmachów, mogących być odpowiednio przerobionymi, by wreszcie ziścić to pragnienie serca i zaspokoić tak ważną potrzebę.

Będąc już ciężko chorym, jeszcze zapytywał o rezultaty swych zabiegów, czynionych u różnych władz o cerkiew w Alejach Ujazdowskich, którą pragnął na ten cel posiąść.

Gdyby nasze społeczeństwo, pragnące dla religji katolickiej zapewnić tytuł panującej przez uchwałę sejmową, zrozumiało, ile doniosłości mieści w sobie

myśl ś. p. X. Kulwiecia dla zapanowania ducha Chrystusowego w życiu publicznem i prywatnem, skwapliwie, jak najrychlejby ją urzeczywistniło.

To jest granitowy fundament pod naszą duchową i narodową przyszłość. A uczynićby to należało spiesznie, bo nigdy tak sprzyjających warunków dla pracy religijnej wśród młodzieży nie było, jak dziś. Obyśmy się nie spóźnili! — Mamy wszelako nadzieję, że nasi dostojnicy Kościoła, oraz księża prefekci dołożą wszelkich starań, by Kościół Młodzieży zaistniał w niedalekiej przyszłości. Znajdą się też zapewne katolicy świeccy, którzy szczodrą dłonią nie poskąpią środków materjalnych na cel tak wielkiej wagi.

Urzeczywistnienie tak pięknej inicjatywy X Kulwiecia byłoby też jego uczczeniem.

Ś. p. X. Kulwieć jako kapłan był najgorliwszym sługą Kościoła i zmarł jak żołnierz Chrystusowy, jak pasterz dobry, który daje duszę za owce swoje.

Ciężką pracą strudzony, oczekiwał wypoczynku wielkanocnego, lecz na życzenie Nuncjusza Apostolskiego, m-gra Ratt'ego, udaje się do Mstyczowa w Kieleckie, by tam ratować duszę zbłąkanego kapłana i parafję, zagrożoną schyzmą. Przyjął tę misję ochotnie, pracując tam z największem poświęceniem, administrując Sakramenta święte wśród grasującego tyfusu, jeżdżąc po kilka razy dziennie do zakaźnych chorych. Powrócił do Warszawy w przeddzień rozpoczęcia lekcyj, pracował jeszcze przez dwa tygodnie bardzo czynnie, nie podejrzewając, iż nosi w sobie zarodek śmierci.

Dnia 3-go maja po odprawionej Mszy św. i uroczystości przyjęcia kilkunastu nowych członków do Sodalicji Marjańskiej, miał przepiękną naukę o miłości Ojczyzny, poczem udał się na stoki cytadeli, by wziąć udział ze swymi uczniami w pochodzie narodowym. Wzruszony wspaniałą uroczystością powrócił do domu, lecz natychmiast wskutek wyczerpania położył się do łóżka z oznakami poważnej choroby. Mimo, że lekarze nie poznawali w pierwszych dniach przyczyny niemocy, czuł, że już więcej nie wstanie. Już na trzeci dzień poprosił o ostatnie Sakramenta święte. Rzeczywiście niebezpieczeństwo zawisło poważne; lekarze skonstantowali tyfus. Tegoż jeszcze dnia, 13 maja, odwieziono go do szpitala św. Stanisława na Woli. Tam zmarł dnia 21-go t. m.

W czasie choroby okazywał mimo wielkich cierpień, spokój, słodycz i wielką troskę o drugich. Gdy choroba była jeszcze nierozpoznana, zaniepokojonej odwiedzającej młodzieży pozwalał w rzadkich wypadkach zaledwie stanąć zdala na progu, powiedział kilka serdecznych słów i kazał odchodzić, by się nie zarażono.

Wyrwała go śmierć z pośród nas w chwili męskiej dojrzałości, bo liczącego lat 39, kiedy był szerszą pracę poczynał.

Młodzież i bliżej go znający wyrazili swą miłość i cześć licznym udziałem w nabożeństwach za jego duszę celebrowanych, dnia 24 maja w kościołku Dzieciątka Jezus przez J. E. X. biskupa Szelążka, z wspomnieniem pośmiertnem X. Pyzowskiego imieniem X. X. prefektów, w kaplicy gimnazjum im. Zamoyskiego przez X. prefekta Śmigielskiego, z przemówieniem X. d-ra Lutosławskiego i przy zwłokach w kaplicy szpitala św. Stanisława, przez J. E. X. biskupa Matulewicza, z przemówieniem X. d-ra Mauersbergera i X. d-ra Wojtkiewicza.

Zwłoki, odprowadzone przez parotysięczny kondukt, przeważnie młodzieży i liczne duchowieństwo, spoczęły w katakumbach kościoła X. X. Marjanów na Bielanach, żegnane ostatniemi słowy p. Władysława Lewandowicza imieniem młodzieży i kolegów nauczycieli.

Pamięć zasługi i przykładu ś. p. X. Leona Kulwiecia żyć będzie w sercach młodzieży i wielu mu blizkich, w naśladowaniu go i czynnem współdziałaniu w urzeczywistnieniu jego zbożnych zamiarów.

Cześć pamięci kapłana-obywatela!

Bronisław Załuski.

POKŁOSIE.

N. Z. R. w kłopocie. — „Sprawa Robotnicza" o posłach robotniczych z Poznańskiego dziś i przed miesiącem. — „Robotnik" w opałach. — Rewolucja niemożliwa, niech żyje rewolucja! — Szkodliwość „wachadłowej orjentacji".

Enzeterowcy znaleźli się w niezmiernie przykrej sytuacji z powodu tak szybkiego poznania się na ich wartości ze strony posłów robotniczych z Poznańskiego, a chcąc wybrnąć z tego położenia, kompromitują się jeszcze bardziej. W N. 44-ym „Sprawy Robotniczej" z dnia 21 lipca p. D. K. w artykule: „Posłowie N.S.R.—pod komendę reakcji" stara się subtelnie wytłumaczyć wystąpienie posłów Narodowego Stronnictwa Robotniczego z „Sejmowego Koła Narodowo-Robotniczego" tem, że:

„Nie 2 partje, nie organizacje robotnicze zblokowały się w Klubie, lecz ich przedstawiciele parlamentarni".

Jasnem chyba jest, że wogóle blok można zawrzeć tylko przy pomocy przedstawicieli, ale p. D. K. zapędza się jeszcze bardziej, charakteryzując posłów N.S.R. w sposób następujący:

„Posłowie ci bowiem, śmiało rzec można w przenośni, że nie są przedstawicielami rzeczywistej woli i nastrojów mas robotniczych Poznańskiego, nie odbijają istotnych prądów nurtujących dziś klasę pracującą miast i wsi b. zaboru pruskiego".

Dalej dowiadujemy się, że

„Wybitną rolę pasterza, który popędzał owieczki w stronę reakcji—odegrał ks. Adamski, specjalnie odkomenderowany do Klubu narod.-robotniczego".

Tak pisze o „rzekomych przedstawicielach, którzy zawiedli oczekiwanie ludu poznańskiego" organ N.Z.R-u d. 21 lipca. Przypomnijmy, co pisał o nich— dnia 21 czerwca, gdy z powodu wstąpienia posłów N.S.R. do „Koła sejmowego narodowo-robotniczego" enzeterowcom roiły się „sny o potędze". „Sprawa Robotnicza" zapewniała wówczas, iż „idee i dążenia nasze są jedne", i tak witała obecnych „rzekomych" przedstawicieli ludu poznańskiego:

„Witamy serdecznie naszych dzielnych braci poznańczyków, którzy wychowani w twardej szkole, zahartowani są w znojnej pracy dla sprawy robotniczej.

Wykazali oni to dobitnie czynem swem, organizując klasę robotniczą w polskie związki zawodowe i stowarzyszenia kulturalne".

A dalej informowała „Sprawa Robotnicza", że

„Do Koła Sejmowego N. Z. R. wstąpiło 17-tu posłów robotniczych z Poznańskiego. W tem 2-ch księży, działaczy społecznych o zakroju działaczy wielkopolskich, których ogół robotniczy w ich okręgach obdarzył zupełnem zaufaniem jako rzeczników swych spraw".

Najciekawsza jednak jest opinja organu N.Z.R-u o „odkomenderowanym przez reakcję" X. Adamskim:

„Imię ks. Adamskiego wymawiane jest dziś w całej Polsce z wielką czcią, jest to bowiem wielki obywatel, patrjota, działacz, organizator i wielki bojownik o sprawy narodowe.

Ruch narodowo-robotniczy w Poznańskiem ma wiele do zawdzięczenia ks. Adamskiemu.

Duch nowoczesnych czasów nie jest obcym dla niego, rozumie on też doskonale dążenia i potrzeby proletarjatu polskiego doby dzisiejszej i jutrzejszej".

Do tej entuzjastycznej charakterystyki zasłużonego działacza wielkopolskiego z naszego nawet stanowiska niewiele musielibyśmy dodać, a pp. redaktorzy „Sprawy Robotniczej" zaoszczędziliby sobie niepotrzebnej kompromitacji, gdyby dokładniej pamiętali, co pisali przed miesiącem.

Jak piskorz wije się również „Robotnik", i w coraz większą wpada matnię, chcąc z jednej strony zachować razem z P.P.S. pozory stanowiska państwowego, a z drugiej obawiając się przelicytowania ze strony „towarzyszy" komunistów. Klasycznym przykładem tej „wahadłowej" orjentacji był stosunek P.P.S. i „Robotnika" do rzekomo „międzynarodowej" manifestacji przeciwko interwencji koalicji w Rosji i na Węgrzech. Manifestacja ta zbiegła się z ofensywą bolszewicką na naszym froncie około Mołodeczna, dokąd bolszewicy, korzystając ze zwycięstw nad Kołczakiem—i powstrzymania Judenicza, pchnęli swą, zaiste „międzynarodową" zbieraninę przeciwko naszej dzielnej, ale znacznie słabszej liczebnie armji. Ta nawet groźna chwila nie zdołała opamiętać pepesowców, którzy w wykrętnej frazeologji szukali usprawiedliwienia dla swej zdrożnej akcji. Odezwa warszawskiego komitetu okręgowego P.P.S. głosiła naprzykład, co następuje:

„Czerwony Proletarjat w dniach tych wystąpi z protestem przeciwko krucjacie, prowadzonej przez międzynarodową reakcję imperjalistyczną, przeciwko Robotniczej Rosji i Węgrom. Robotnicy zaprotestują Przeciwko krwawym próbom zdławienia rewolucji na wschodzie na rzecz wszechpotężnej jeszcze przemocy kapitalistycznej".

O gorzka choć mimowolna ironjo! „Robotnicza" Rosja i Węgry! czy też nieszczęśliwy robotnik rosyjski, doprowadzony do ostatecznej nędzy i rozpaczy przez krwawy despotyzm Trockich i Leninów, opierających swą władzę nad ludem rosyjskim na bagnetach najmitów, przeczuwa, że „uświadomiony proletarjat polski" tak gorącym jest zwolennikiem pozostawienia go własnym siłom w walce z niesłychaną tyranją.

Ale to nic jeszcze—dalej wmawia się ciemnemu ludkowi, że „reakcja polska" chce rzucić lud polski „do bratobójczej zaborczej walki z robotnikami innych narodów" i w przeciwstawieniu do tego, woła się z emfazą:

„Chcemy sprawiedliwego pokoju! Wzywamy rząd do wszczęcia rokowań z państwami ościennemi. Niech w końcu raz przestanie lać się krew drogocenna robotnika i chłopa polskiego na polach bitwy".

Kiedyż P.P.S. zechce wreszcie zrozumieć, że nie można dla zdobycia taniej popularności przekręcać rzeczywistości do góry nogami, że to nie my, lecz menerzy bolszewiccy zdradzają zaborcze zapędy.

„Manifestacje" spaliły coprawda na panewce, tylko komuniści spowodowali znowu w Warszawie przelew krwi, na ten raz jednak nikt nie protestował, albowiem była to krew... milicjantów, zranionych przez miejscową „czerwoną gwardję". Pepesowcy, nie biorąc udziału w projektowanym strajku, zastrzegli sobie tę przyjemność na niedaleką przyszłość. Centralny komitet wykonawczy P.P.S. pisał:

„Do strajku Was tym razem nie wzywamy, chcąc zachować tę najskuteczniejszą broń w rękach proletarjatu dla niedalekiej być może chwili decydującej walki".

Z drugiej jednak strony naczelny publicysta organu P.P.S., ob. N. Barlicki, pisał na parę dni przedtem w art. „Przeciwległy kraniec":

„Z całym naciskiem stwierdzam jeszcze raz, że, wobec koniecznych warunków historycznych, rewolucja proletarjatu w Polsce jest niemożliwością. Ruch zrozpaczonych i znękanych mas wywołałby tylko zamęt, który możeby posłużył Leninowi czy spartakusowcom, ale na jotę nawet nie przysłużyłby się sprawie robotników i nie zbliżyłby nas do ostatecznego tryumfu socjalizmu".

To stwierdzenie oczywistej dla każdego niezaślepionego fanatyzmem prawdy nie przeszkodziło bynajmniej umieszczeniu w odezwie centr. kom. wyk. P.P.S., drukowanej w tym samym numerze „Robotnika" słów „Niech żyje rewolucja społeczna".

Następnego coprawda dnia wyczytaliśmy w „Robotniku" sprostowanie do artykułu Barlickiego, a mianowicie, że „rewolucja w Polsce jest *dziś* niemożliwą", bez bliższego niestety określenia tego „dziś". Ale o to, by pozostawić pole otwarte dla różnorakich wniosków, właśnie chodzi widocznie wodzom „uświadomionego proletarjatu polskiego". Jaką krzywdę taka dwulicowość polityczna wyrządza narodowi, nie potrzebujemy chyba dodawać.

M.

Uwagi.

Synod Ewangelicko-Reformowany w adresie hołdowniczym do Sejmu stawia pewne postulata, a między niemi żąda, izby przy Uniwersytecie Warszawskim były Katedry Teologji protestanckiej oraz aby, zamiast używanego dotąd tytułu pastora, duchowny ewangelicko-reformowany mógł używać nazwy ksiądz.

Co do pierwszego punktu, możnaby się w zasadzie nań zgodzić za przykładem wielu Uniwersytetów zachodniej Europy. Ze względu jednak na bardzo szczupłą ilość wyznawców Kalwinizmu byłby to ciężar niepomierny, włożony na skarb Państwa a z drugiej strony niebezpiecznym dla innych wyznań precedensem. Dlaczegóżby się Ewangelicy nie mogli zdobyć na własną Szkołę Duchowną?

Drugi postulat motywowany jest tem, że tytuł „pastor" nie był używany w dawnej Polsce a dopiero przez pruski i moskiewski rząd narzucony. Nie zdaje się to nam odpowiadać prawdzie i nie rozumiemy wstrętu Ewangelików do nazwy powszechnie na Zachodzie używanej, nie mającej w sobie nic uwłaczającego. Przecie i w Katolickim Kościele Biskupów nazywamy Pasterzami, a działalność kapłańską—duszpasterstwem. W 16-ym wieku nazywano duchownych protestanckich ministrami, kaznodziejami, predykantami, a Kościoły protestanckie powszechnie Zborami. Od niejakiego czasu zauważyć się daje u nas chęć zatarcia różnicy między wyznaniami: nazywają czasem Superintendenta Biskupem—instalację pastora w Zborze—ordynacją t. j. wyświęceniem—a pastora—księdzem.

Czem to wytłumaczyć? W wyznaniu Ewangelicko-Reformowanem Sakramentu Kapłaństwa niema, zatem nie może być i święceń, pocóż więc przywłaszczać sobie tytuły—nieodpowiednie. Czyżby duchowni kalwińscy wstydzili się swej odrębności, uznając wyższość Kapłaństwa Katolickiego? W każdym razie gdyby każdego pastora nazywano księdzem, sprowadziłoby to zamieszanie, dla wyjaśnienia którego wypadłoby

po słowie ksiądz dodawać katolicki lub kalwiński— niech więc lepiej pozostanie po dawnemu.

X. W. Cz.

* * *

W jednej z firm spostrzegłem na ścianie świadectwo handlowe jeszcze niemieckie.

— Dlaczegoż pan dotychczas nie wykupił polskiego patentu?

— A widzi pan taka z tem historja. Gdy już było z niemcami coraz gorzej, planowałem sobie nie wykupować od nich patentu, nie udało się jednak: na krótko przed wyjściem tak mię przycisnęli, że musiałem patent opłacić.

Interes najlepiej nie idzie; w krótkim czasie wykupić patent po patencie było mi zbyt ciężko. Koło Wielkanocy ruch poprawił się nieco, więc zebrałem kilkaset marek i idę patent płacić, w urzędzie chcą mi doliczać 10% za opóźnienie. Termin płacenia bez kar był do 30-go marca, gdyby policzono—jak to było praktykowane przed wojną—po 1% kary za każdy miesiąc opóźnienia, choćby licząc od stycznia, nicbym przeciw temu nie mówił, ale skoro mam płacić 10% kary czy zapłacę w dwa tygodnie po terminie czy zapłacę w pół roku po terminie, to proszę pana kiepskim byłbym kupcem, żebym się jeszcze namyślał. I dlatego widzi pan u mnie dotychczas patent niemiecki, a takich kupców jest zastęp spory.

— Nie powiem, żeby to zbyt było po obywatelsku...

— A co w tem jest nieobywatelskiego? Od podatku się nie uchylam. Zapłacę go pod koniec roku, kiedy te kilkaset marek, puszczone dalej w ruch, zarobią na ową karę dziesięcioprocentową.

Opóźnianiu w opłacie winne są tylko władze skarbowe niepraktycznie, nieżyciowo stawiając kwestję.

— Okupanci tak samo robili, i pan się z tem godził.

— Ale tylko pod przymusem ostatecznym, a uważam, iż rząd polski mógłby trochę inaczej stawiać kwestję, niż okupanci. Zyskałby na tem skarb polski, otrzymując podatki regularniej wpłacane.

Możeby to rozumowanie kupca wzięły sfery miarodajne pod rozwagę. Zdaje się, że jest w niem pewna doza słuszności. *(s.).*

* * *

U Lourse'a rozmawia dwuch czarnokawowych polityków.

— Wie pan, jabym nie znosił Ministerjum *Sztuki* ani Ministerjum *Aprowizacji*, lecz połączył je w jeden urząd.

— Cóżby z tego wyszło?

— *Sztuka* mięsa codziennie dla każdego mieszkańca...

— E wątpię, prędzejby się zaczęły dziać takie sztuki w aprowizacji, jakich żadna najchimeryczniejsza chimera jeszcze dotąd nie stworzyła.

(s.).

* * *

Pechowy miesiąc ten lipiec! Kilku agentów bolszewickich wpadło w ręce władz. Kilku szpiegów niemieckich też zdołano przyłapać. Wykryto wreszcie szajkę fabrykantów i kolporterów fałszywych pięćdziesięciomarkówek.

To też rycerze przemysłu z pod ciemnej gwiazdy mają trochę miny przerzedzone. Niespodzianie okazało się, że i mokry lipiec może im przypiec.

(s.).

Z PISM i KSIĄŻEK.

Jasna Góra podczas wojny europejskiej 1914 — 1918 zebrał i opracował Z... Nakładem Arcybractwa Różańcowego na Jasnej Górze. 1919. Str. 152. Cena 4 mk. 40 fen.

Na treść zajmującej całości złożyły się następujące rozdziały: 1) Znaczenie Jasnej Góry dla Polski, 2) Jasna Góra w przeszłości, 3) Jasna Góra w sierpniu 1914 r., 4) Stosunki z władzami okupacyjnemi, 5) Jasna Góra pod względem religijnym, 6) Jasna Góra a sprawy ojczyste, 7) Jasna góra a organizacje religijno-społeczne, 8) Usunięcie pomnika cara Aleksandra II i obawy rekwizycji, 9) Sprawy administracyjno-gospodarcze, 10) Skład osobisty Konwentu O. O. Paulinów na Jasnej Górze.

Leśniewska Aleksandra: **„Życie"**. Powieść. Poznań—Warszawa. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Str. 233. Cena 7 mk. 50 fen.

„Ludzie się nie miłują i dlatego na świecie są... ofiary"—to zdanie końcowe świadczy o tendencji książki, pisanej żywo, z umiarem artystycznym. Można ją dać bez zastrzeżeń i do rąk młodzieży dojrzalszej.

Emil Faguet: **„Kochaj Ojczyznę"**. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1919. Str. 101+96+98+98+97+112. Cena za całość 15 mk. 40 f.

Rzecz ta w pierwszem wydaniu nosiła tytuł „Dziesięć przykazań miłości": 1) Kochaj samego siebie, 2) Kochaj kobietę, 3) Kochaj Rodzinę, 4) Przyjaźń, 5) Kochaj Ojczyznę, 6) Kochaj starców. Tylko sześć przykazań ukazało się w przekładzie polskim. Nie znając oryginału, nie wiemy jakie rozdziały tłomacz opuścił, odczuwamy jednak brak jednego zasadniczego: Kochaj Boga. A może takiego rozdziału i w oryginale niema. Bardzo możliwe. W takim razie szkoda, że tak ładnie pomyślanego i częściowo szczęśliwie wykonanego dzieła nie można polecać jaknajpowszechniej.

Kazimierz Gliński **„Bonawentura Dzierdziejewski"**. Powieść obyczajowa z czasów stanisławowskich, spisana z opowiadań ojca autora. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa—Lublin—Łódź—Kraków. Str. 379. Cena 16 mk. 50 fen.

Powieść ta posiada wszystkie zalety pióra Glińskiego, a więc potoczystą narrację, dobry język, barwny styl i zajmującą fabułę. Nasza literatura powieściowa pomnożyła się o jeden więcej dobry nabytek.

X. Arcybiskup Teodorowicz: **„Mnie żyć jest Chrystus"**. Poznań 1919. Nakładem księgarni św. Wojciecha. Skład Główny w Warszawie, księgarnia M. Szczepkowskiego, Jerozolimska 53.

Czcigodny autor zaznacza w przedmowie, iż, pracując nad dziełem o życiu Chrystusa Pana, miał zamiar napisać obok tej pracy inną jeszcze, zawierającą medytacje na temat Ewangelji dla ludzi, oddanych pracy nad urobieniem dusz swoich. X. Arcybiskup Teodorowicz podkreśla dalej ze zwykłą sobie skromnością, iż ogłoszone w omawianej książce rozmyślania są szkicem tylko do tych medytacyj, tłómacząc tem nierównomierność w traktowaniu poszczególnych tematów, i wskazuje dalej to odmienne nieco założenie, z którego wychodził przy opracowywaniu tych medytacyj, mianowicie, że „wśród odmiany historycznych scen i słów Zbawicielowych" uwzględniał nadewszystko jedną tylko cnotę: zjednoczenia się mistycznego duszy z Chrystusem.

Dla tych, co ku pogłębieniu swemu duchowemu dążą, którzy pragną realizacji słów św. Pawła: „żyję ja, już nie ja, żyje we mnie Chrystus", medytacje X. Arcybiskupa Teodorowicza będą nadzwyczaj cennym nabytkiem i staną się niewątpliwie ukochanym przewodnikiem w pracy nad doskonaleniem się wewnętrznem. *m.*

„SPRAWA" wychodzi pod kierunkiem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego przy najbliższym udziale X. Prof. K. Tomczaka oraz panów: T. Błażejewicza, J. Chacińskiego i X. Dr. B. Wilanowskiego.

Prenumerata „SPRAWY" wynosi rocznie Mk. 55, półrocznie Mk. 30, kwartalnie Mk. 16. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie: Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.

OGŁOSZENIA: Za jeden wiersz petitu, lub jego miejsce: przed tekstem Mk. 1.50, w tekście Mk. 3.—, reklamy Mk. 1.25, zwyczajne Mk. 1.— Administracja: Zgoda 5, w podwórzu, otwarta od g. 9 do 3. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY" Zgoda 5.

Przedpłatę wnosić można w każdym urzędzie pocztowym na rachunek nasz No 65 w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.